12 stron

Cena 8 zł

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 14 kwietnia 1946 r. | Nr 15 (72)

WALTER LIPPMANN

Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych*)

Powszechny ład międzynarodowy

1. SOJUSZ „ZAWIĄZKOWY"

Dzisiejszy związek między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią, Rosją i Chinami nie jest zjawiskiem nowym. Ilekroć w ciągu ostatniego stulecia nasze żywotne interesy narażone były na niebezpieczeństwo, zwracaliśmy się przede wszystkim ku Wielkiej Brytanii, Rosji i Chinom. Stosunki nasze z innymi państwami miały znaczenie drugorzędne i decydowało o nich nasze stanowisko wobec Anglii, Rosji i Chin. Nasza polityka zagraniczna była „wypłacalna", to znaczy nasze zobowiązania nie przekraczały naszych sił, dopóki nie było poważniejszych różnic między nami a tymi trzema państwami.

Zauważmy, że żadne z nich nie jest państwem europejskim. Jest to dość istotne, gdyż rzuca nieco światła na słynne oświadczenie Washingtona, zawarte w jego „Mowie pożegnalnej":

„Europa ma swój własny układ interesów, które nie dotyczą nas wcale albo tylko w bardzo małym stopniu. Dlatego wciąż nurtują ją spory, których przyczyny są nam zupełnie obce".

Gdy Washington wypowiadał te słowa 17 września 1796 roku, Napoleon zaczynał dopiero swój zaborczy pochód najazdem na Włochy. Podbój Europy, a z nim groźba inwazji Anglii, a potem najazd na Rosję nastąpiły znacznie później. Wojny, o których mówił Washington, miały wszelkie cechy wojen czysto europejskich i „nie dotyczyły nas wcale, albo tylko w bardzo małym stopniu". Ale w szesnaście lat później Napoleon był już panem całej Europy i sięgnął poza Europę, uderzając na Rosję. Stany Zjednoczone znalazły się wtedy w wojnie z Wielką Brytanią. Mimo to Thomas Jefferson, człowiek, który ostrzegał przed „wikłaniem się w sojusze", pisał 1 stycznia 1814 roku: „oczywiście, że nikt z nas nie pragnie, by Bonaparte podbił Rosję i by w ten sposób cała Europa znalazła się u jego stóp. Potem Wielka Brytania będzie już tylko kąskiem na jeden ząb... Oddajmy mu we władanie całą Europę, a zgromadzi i załaduje na brytyjskie okręty takie siły, że, jako żywo, wolałbym się z nimi nie mierzyć". Dalszy ciąg tego prywatnego listu z czasów wojny brzmi: „Wdałem się w te rozważania, mój przyjacielu, gdyż wiem, że nie podasz mego listu do gazet i ponieważ chętnie powierzam Ci zadanie wyjaśnienia mych poglądów naszym dobrym współpracownikom, by zastanowili się na chwilę w skupieniu... nad tym, jak dalece powinniśmy życzyć powodzenia Bonapartemu, jeżeli kierujemy się wyłącznie naszymi własnymi interesami".

Widzimy więc, co ci sami ludzie, którzy sformułowali zasadę niemieszania się do polityki europejskiej, myśleli o naszych stosunkach z zagranicą. Zdawali sobie oni sprawę, że z chwilą, gdy jakieś państwo europejskie zamierza „wyjść z Europy" bądź drogą podboju Anglii, która leży na jednym jej skraju, bądź Rosji, która leży na jej drugim krańcu — wtedy interesy nasze są zagrożone. Jeżeli zgłębimy naszą historię, nie tę, którą opracowali oficjalni historycy, ani tę, którą wykładają niektórzy nasi pomniejsi politycy, lecz tę, którą przeżył i tworzył naród amerykański, to przekonamy się, że choć nigdy nie przejmowaliśmy się zbytnio sprawami Europy — to jednak zawsze żywo interesowaliśmy się sprawami światowymi. Utrzymujemy ścisłe stosunki przede wszystkim z państwami pozaeuropejskimi. Państwami europejskimi interesujemy się dopiero wtedy, gdy które z nich grozi naruszeniem ładu pozaeuropejskiego. Jeżeli więc zdołamy zanalizować interesy Ameryki równie wnikliwie i dokładnie, jak to uczynił Jefferson wśród zgiełku najbardziej szowinistycznej z wojen, przekonamy się, że tradycyjna amerykańska polityka niemieszania się w sprawy europejskie nie stoi bynajmniej w sprzeczności z wciąż wzrastającym zainteresowaniem sprawami światowymi.

Podczas wojen napoleońskich i podczas obu wojen niemieckich okazało się, że nasz naczelny interes w Europie polega na tym, by nie powstało tam żadne mocarstwo zdolne do prowadzenia wojen zaczepnych poza Europą. Dlatego naszymi naturalnymi i stałymi aliantami były i są Wielka Brytania i Rosja. Obydwa te państwa posiadają bowiem ten sam interes zasadniczy: nie dopuścić do powstania żadnego mocarstwa zaborczego w Europie. Jest to dla nich kwestia bytu lub niebytu narodowego. I dlatego właśnie Anglia i Rosja, mimo spory na Bliskim i Środkowym Wschodzie i w Azji, sprzymierzyły się przeciwko Napoleonowi, przeciwko Wilhelmowi II i przeciwko Hitlerowi.

Ów interes zasadniczy, łączący Anglię i Rosję, wspólny jest również Ameryce. Jest on więc naturalnym podłożem sojuszu tych trzech państw. Od sojuszu tego zależy utrzymanie ładu międzynarodowego, w którego obrębie znajduje się Ameryka. Współdziałanie Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Rosji jest podstawowym warunkiem zapewnienia każdemu z tych trzech państw minimum bezpieczeństwa. Sojusz ich jest zawiązkiem wszelkiego szerszego systemu bezpieczeństwa. Bez tego sojuszu „zawiązkowego" niesposób w ogóle przystąpić do organizowania takiego systemu.

Wszystkie nasze wysiłki winniśmy poświęcić tworzeniu owego sojuszu „zawiązkowego". W przeciwnym bowiem razie nie zdołamy wypełnić swoich zobowiązań na Atlantyku i na Oceanie Spokojnym.

Bez takiego sojuszu Filipiny pozostaną trudną do obrony pozycją, narażoną na atak ze strony Japonii lub jakiegoś bloku wschodnio-azjatyckiego. Bez takiego sojuszu nasze zobowiązania wobec Ameryki Południowej będą wystawione na ciężką próbę, gdyż Ameryka Południowa zagrożona będzie bądź najazdem z Europy czy Afryki, bądź stopniowym przenikaniem tam wrogich nam sił. Bez takiego sojuszu obydwa oceany i szlaki lotnicze ,wiodące na północ i południe, będą w stałym niebezpieczeństwie, ponieważ porty i lotniska po tamtej stronie znajdą się w niepewnych rękach.

Tylko przy pomocy takiego sojuszu — jakkolwiek byśmy go nazwali i czymkolwiek byśmy go przypieczętowali — potrafimy zrównoważyć nasze zobowiązania. Nie musimy chyba wyjaśniać, dlaczego pragniemy najpierw załatwić rzecz dla nas najważniejszą. Stany Zjednoczone zaciągnęły już tyle zobowiązań, że zanim wystawią nowe weksle, winny postarać się o środki na spłatę starych.

Doświadczenia naszych niepowodzeń w przeszłości, a zwłaszcza tragiczny przykład Ligi Narodów, powinny nas były pouczyć, że zanim przystąpimy do organizowania pokoju światowego, powinniśmy zwrócić się ku tym państwom, które potrafią nam w tym pomóc. Projekty, statuty, umowy, traktaty i oświadczenia nie tworzą bynajmniej działających organizacyj. Co najwyżej regulują one działalność ludzi, którzy chcą się zorganizować. Rodzina nie jest tworem prawa małżeńskiego, lecz związkiem dwojga ludzi, zawartym zgodnie z istniejącym prawem małżeńskim. Nie Konstytucja stworzyła Unię amerykańską, lecz uczyniły to wchodzące w jej skład stany które Konstytucję uchwaliły, by uczynić Unię doskonalszą. Powszechny ład międzynarodowy powstanie wtedy, gdy najpotężniejsze mocarstwa postanowią zachować łączący je sojusz.

Miniatura przedstawiająca bitwę pod Lignicą w r. 1241 w tzw. Kodeksie Ostrowskim, wykonanym przez Mikołaja Pruzię z Lubinia w r. 1353 na zamówienie Ludwika, księcia na Brzegu. Miniatura dolna wyobraża moment śmierci Henryka Pobożnego.

2. DLACZEGO SOJUSZ TEN JEST KONIECZNY?

Spotka mnie niewątpliwie zarzut, że zbyt silny nacisk kładę na zabezpieczenie żywotnych interesów wielkich mocarstw, co jest sprzeczne z duchem liberalizmu, że lekceważę prawa małych narodów i nie doceniam ich znaczenia dla cywilizacji ogólnoludzkiej. Niechaj krytycy moi wysłuchają najpierw wszystkich argumentów. Zrozumieją wtedy, że sojusz „zawiązkowy" wielkich mocarstw — jeżeli ma się w ogóle ostać — musi prowadzić politykę liberalną.

Zanim jednak potrafimy twierdzenie to udowodnić, musimy wyzbyć się wszelkich wątpliwości, że jako Amerykanie mamy prawo i obowiązek troszczyć się przede wszystkim o zabezpieczenie żywotnych interesów naszego kraju. Albowiem od lat bez mała pięćdziesięciu Stany Zjednoczone tak dalece zaniedbały własne interesy, że nie uczyniły nic, by zapewnić im skuteczną obronę. Nie zdołały też przedsięwziąć żadnych kroków dla ratowania pokoju światowego. Nikt nie wypowiedział w ciągu ostatniego półwiecza tylu pięknych słów na temat liberalizmu, co Stany Zjednoczone. Ale też nikt nie zaniedbał tak bardzo swoich interesów i nie uczynił tak mało dla urzeczywistnienia ideałów, które bez wytchnienia głosił.

Dlatego też staram się tak sformułować amerykańską politykę zagraniczną, by odpowiadała ona ściśle interesom kraju. Sądzę, że na tej płaszczyźnie społeczeństwo amerykańskie z powrotem się zjednoczy. Dopóki nie uświadomimy sobie w pełni naszych własnych interesów i dopóki nie zaczniemy ich bronić, dopóty nie będziemy w stanie pomóc nikomu... Nie wątpię, że nasi sojusznicy i sąsiedzi wolą, by amerykańska polityka zagraniczna była wyrazem interesów narodowych, niż zbiorem dwuznacznych ogólników, którymi karmimy świat od lat pięćdziesięciu.

Nie waham się stwierdzić, że przedwstępnym warunkiem stworzenia lepszego ładu światowego jest sojusz „zawiązkowy" trzech wielkich mocarstw, które wyjdą zwycięsko z obecnej wojny. Od nich zależy wyzwolenie Europy z jarzma despotyzmu hitlerowskiego i uwolnienie Dalekiego Wschodu od imperializmu japońskiego. Trzeba było najwyższego wysiłku wszystkich trzech mocarstw, by uratować świat od hitleryzmu i japońskiego imperializmu. Żadne z nich w pojedynkę bez pomocy dwóch pozostałych, ani nawet dwa z nich, bez pomocy trzeciego nie sprostałyby temu zadaniu. Czemuż więc nie przyznać otwarcie, że tylko sojusz trzech wielkich mocarstw ochroni ład światowy przed napastnikami? Nie wiem, czy ktoś zaryzykuje twierdzenie, że rozbicie tego sojuszu przyczyni się bardziej do przywrócenia wolności ujarzmionym ludom i do zabezpieczenia ładu międzynarodowego, podkopanego przez dwie niszczycielskie wojny światowe?

Tylko zwarty sojusz wielkich mocarstw może być zawiązkiem szerszej organizacji międzynarodowej. Otóż jest rzeczą oczywistą, że koalicja ta — mimo, iż spaja ją wspólny interes aliantów — rozpadnie się, jeżeli jej uczestnicy nie uszanują wolności i praw pozostałych narodów.

Wydaje mi się, że można udowodnić ponad wszelką wątpliwość, iż Anglia, Ameryka, Rosja i Chiny (gdy staną się mocarstwem) dopóty pozostaną sojusznikami i partnerami, dopóki każde z nich z osobna i wszystkie razem używać będą swych sił wyłącznie w celu zachowania wolności opartej na prawie.

*) Rozdział z książki wybitnego dziennikarza i publicysty amerykańskiego, wydanej w 1943 r. pt. „Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych". Książkę tę omówimy obszernie w najbliższym numerze „Odrodzenia".

3. NIEODZOWNY WARUNEK JEDNOŚCI

Stwierdźmy na wstępie, że obecny sojusz anglo-amerykańsko-rosyjski powstał nie z dobrej woli sojuszników, ale pod naciskiem wspólnych wrogów. Ilekroć na widowni europejskiej pojawiało się wielkie mocarstwo, sięgające poza Europę, tylekroć Anglia, Ameryka i Rosja, siłą rzeczy, stawały się sojusznikami. Ale gdy tylko niebezpieczeństwo znikało, przestawały one doceniać wartość tego sojuszu. Wtedy bowiem na plan pierwszy wysuwały się ich sprzeczne interesy, które, choć mniejszej wagi, usuwały w cień interes wspólny. Im większe zatem zagrażało im niebezpieczeństwo — tym ściślejszy łączył je związek, im bardziej czuły się bezpieczne — tym silniej rysowały się dzielące je różnice.

Po bezwarunkowej kapitulacji Niemiec i Japonii zniknie poczucie śmiertelnego niebezpieczeństwa, które dotychczas spajało sojuszników. Zaczną się dyskusje na temat spraw spornych, które, jako mniej ważne, pozostawiano dotąd na uboczu. I jak to zwykle bywa wśród zwycięskich sojuszników, nastąpią rozdźwięki między aliantami. Na Kongresie Wiedeńskim rozdźwięk taki zapewnił powodzenie dyplomacji Talleyranda. Na Konferencji Pokojowej w roku 1919 zwycięska koalicja rozpadła się, zanim jeszcze pokój został zawarty. Sytuacja taka może się z łatwością powtórzyć, skoro już w roku 1943 w ślad za pierwszymi oznakami zbliżającego się zwycięstwa, rysować się poczęły szczeliny w jedności alianckiej.

Szczeliny te poszerzą się i pogłębią, jeżeli tylko poszczególne mocarstwa przejawiać będą skłonności do ekspansji na szkodę swych wielkich lub małych sprzymierzeńców.

Jeśli więc Ameryka uprawiać będzie politykę ekspansji imperialistycznej kosztem Imperium Brytyjskiego, to podważy ona lub zniszczy Wspólnotę Atlantycką. Albowiem Wielka Brytania zmuszona będzie szukać bezpieczeństwa w sojuszu z innymi mocarstwami, by pokrzyżować zaborcze zamiary Ameryki.

Jeżeli Wielka Brytania nie dokona koniecznych reform w systemie kolonialnym i imperialnym dziewiętnastego stulecia, to narazi się na wybuch powstań w Azji, na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Anglicy nie mogą, rzecz jasna, oczekiwać pomocy Ameryki przy tłumieniu tych ruchów, muszą się natomiast liczyć z tym, że Chiny i Rosja będą podsycały irredentę.

Jeżeli zaś Rosja wkroczy na tory polityki zaborczej, zagrażając wolności swych sąsiadów w Europie, wówczas Wielka Brytania i Ameryka niezawodnie uznają to za groźbę dla swego bezpieczeństwa i zaczną zachęcać kraje europejskie do stawiania oporu Rosji. Gdyby Rosja próbowała ekspansji na terenie Chin, doprowadziłoby to do zerwania stosunków rosyjsko-amerykańskich. Gdyby jednak z drugiej strony Wielka Brytania, Ameryka i państwa europejskie, naśladując rok 1919, próbowały wznowić politykę blokady czy rozbicia Rosji, wówczas niewątpliwie będzie ona temu przeciwdziałać, posługując się międzynarodowym ruchem komunistycznym.

A wreszcie zaborcza polityka Chin w stosunku do Indii, półwyspu Malajskiego, Indochin czy Indii Holenderskich spotka się z oporem ze strony Ameryki, Australii, Nowej Zelandii, Francji i Holandii.

Zaborczość jednego lub kilku wielkich aliantów wprędce doprowadzi do zupełnego między nimi zerwania. A nieuchronnym następstwem zerwania będzie wyścig zwycięzców o zjednanie sobie pokonanych wrogów. To zaś doprowadzi do wskrzeszenia potęg militarnych, dopiero co zniweczonych podczas wojny. W Europie każdy ze skłóconych aliantów ubiegać się będzie o względy Niemiec, w Azji — o względy Japonii. I w ten sposób zwycięscy sojusznicy, których chciwość doprowadziła do wzajemnej rywalizacji, przyczynią się do odbudowy potęgi napastników, którzy tak niedawno jeszcze zagrażali ich bezpieczeństwu. A w rezultacie okres powojenny przekształci się w nowy okres przedwojenny.

Stąd wniosek, że sojusz Wielkiej Brytanii, Rosji i Ameryki (i ewentualnie Chin) da się utrzymać tylko wówczas, gdy działać będzie w ramach ładu międzynarodowego, opartego na poszanowaniu wolności wszystkich krajów. Gdy wielkie mocarstwa zaczną między sobą rywalizować o hegemonię w Europie środkowej i wschodniej lub na obszarach Azji i Afryki — rozpadnie się ich jedność front zwrócony przeciwko Niemcom i Japonii. A wtedy nic już nie stanie na przeszkodzie odrodzeniu potęgi militarnej obu tych państw.

Sojusz ten nie zdoła również — wbrew wysuwanym niekiedy obawom — ujarzmić ani wyzyskiwać całej ludzkości. Gdyby wszedł na tę drogę — rozleci się pod wpływem oporu pokrzywdzonych narodów. Albowiem to czy inne spośród wielkich mocarstw dojdzie w końcu do wniosku, że interesy jego i sympatie są po stronie uciśnionych.

Uczestnicy tego sojuszu nie potrafią też podzielić świata na strefy wpływów, gdzie każdy z nich będzie miał zapewnioną hegemonię polityczną i swobodę wyzysku gospodarczego. Albowiem strefy wpływów zawsze na siebie zachodzą i są wskutek tego źródłem zatargów między wielkimi mocarstwami. Czy można tak podzielić Europę, by strefy wpływów Wielkiej Brytanii i Rosji znalazły się w osobnych imperialistycznych przegródkach i wzajemnie na siebie nie zachodziły? Jeżeli tak, to po której stronie znajdą się kraje skandynawskie? Gdyby znalazły się w strefie rosyjskiej, Wielka Brytania byłaby zagrożona z morza i z powietrza, a gdyby znalazły się w strefie brytyjskiej — w taki sam sposób zagrożona byłaby Rosja. Czy i gdzie można przeciągnąć linię podziału w Afryce, skoro od tego, kto włada Afryką Północną i Zachodnią, zależy z jednej strony bezpieczeństwo Ameryki Południowej, a z drugiej — bezpieczeństwo kotliny śródziemnomorskiej? Jak można rozgraniczyć strefy wpływów na Dalekim Wschodzie, by nie naruszyć ani bezpieczeństwa Chin, ani bezpieczeństwa narodów brytyjskich Australazji, ani wreszcie zobowiązań amerykańskich w stosunku do Wysp Filipińskich?

A zatem wielkie mocarstwa nie mogą się sprzymierzyć ani w celu podziału świata na strefy wpływów, ani w celu roztoczenia nad nim swego panowania. Sojusz ich możliwy jest tylko wtedy, gdy uznają bez zastrzeżeń wolność państw, nie wchodzących w skład koalicji. W przeciwnym bowiem razie, wielkie mocarstwa nie unikną rywalizacji wzajemnej, która doprowadzi w końcu do antagonizmu na tle dążeń imperialistycznych. Tylko drogą popierania wszechświatowej organizacji, opartej na poszanowaniu prawa i wolności wszystkich ludów, wielkie mocarstwa zjednają sobie zaufanie, współpracę i przychylność pozostałych krajów. I tylko w ten sposób utrwalą ciągłość swego sojuszu.

Ład międzynarodowy, który mocarstwa te zaczęły organizować, bo odpowiadał ich własnej potrzebie bezpieczeństwa, może się rozwinąć tylko pod warunkiem, że będą one prowadziły politykę jednania sobie zaufania i przychylności reszty świata. Wyswobodzenie małych i słabych krajów z jarzma niewoli hitlerowskiej i japońskiej nie wystarcza, by tę przychylność zdobyć. Wdzięczność dla oswobodzicieli może być szybko zgaszona ich późniejszym postępowaniem. Motywem działalności mas ludzkich nie jest zresztą uczucie wdzięczności, ale poczucie własnego, tak czy inaczej pojmowanego interesu. Wdzięczność oswobodzonych dla oswobodzicieli przetrwa więc dopóty tylko, dopóki wielkie mocarstwa zachowają jedność, konieczną dla zabezpieczenia pokoju światowego, i dopóki będą prowadziły politykę tak liberalną, że nie wywoła ona niezadowolenia ani buntu przeciwko istniejącemu ładowi międzynarodowemu.

Doświadczenie historyczne uczy, że siła skuteczna jest na dłuższą metę tylko wtedy, gdy stanowi oparcie prawa, zapewniającego ludziom wolność, którą cenią nad życie. Różne ludy w różnych epokach rozmaicie pojmowały zakres i istotę wolności. Ale niezależnie od tego, czy jest to wolność chrześcijańskiego Zachodu, czy wolność świata muzułmańskiego, wolność Hindusów, czy też wolność Chińczyków — prawo winno tę wolność szanować, a siła stać na straży prawa. Choć świat współczesny jest bardzo mały, nie należy sobie wyobrażać, że zapanuje na nim jednolity i powszechny system prawny. Wschód i Zachód za bardzo różnią się tradycjami kulturalnymi. Ale jeśli sojusz wielkich mocarstw utrzyma się, to na całym świecie może zwyciężyć zasada, że siła nie jest czynnikiem nadrzędnym, lecz jest podporządkowana prawu. Prawo zaś podlega dyskusji i może być zmienione w sposób przez prawodawcę przewidziany.

Ład międzynarodowy na tej zasadzie oparty nie jest oczywiście ładem wieczystym, jako że nic nie jest wieczne na tym zmieniającym się świecie. Ale ład taki przynajmniej będzie długotrwały. I będzie on dobrodziejstwem dla ludzkości, gdyż przyniesie jej wolność i bezpieczeństwo. A wolność i bezpieczeństwo są ludziom tak drogie, że ktokolwiek w historii potrafił je światu zapewnić, ten zdobył sobie poparcie ogółu. Legiony rzymskie roznosiły po świecie prawo rzymskie i dlatego właśnie Imperium Romanum przetrwało tak długo. A kiedy upadło, pamięć o nim zachowała się wśród ludzi przez tysiąclecie i marzyli oni o odzyskaniu utraconego ideału. Właściwe Anglikom poszanowanie prawa zjednało im sympatie innych ludów. I mimo licznych powstań przeciwko władzy brytyjskiej, inne kraje natychmiast spieszą Anglikom z pomocą, gdy tylko Wielka Brytania jest naprawdę zagrożona. I nie będzie to zarozumialstwem z naszej strony, gdy stwierdzimy, że republiki Półkuli Zachodniej poczuwają się do wspólnoty interesów ze Stanami Zjednoczonymi nie tylko ze względu na nasze bogactwa materialne, ale przede wszystkim dlatego, że jesteśmy zwolennikami wolności opartej na prawie.

4. WNIOSKI DOTYCZĄCE ORGANIZACJI NOWEGO ŁADU MIĘDZYNARODOWEGO

W świetle analizy żywotnych interesów wielkich i małych państw nasuwają się następujące wnioski końcowe:

By ustanowić i utrzymać ład międzynarodowy, należy wzmocnić i utrwalić sojusz „związkowy" wielkich mocarstw.

By utrwalić swój sojusz, wielkie mocarstwa muszą przystąpić do organizowania takiego ładu międzynarodowego, który zapewni wszystkim narodom wolność w granicach prawa. Prawo to musi być szanowane przez wielkie mocarstwa i przestrzegane obowiązkowo przez wszystkie narody.

Jeśli wskazania te zostaną urzeczywistnione, nowy ład międzynarodowy opierać się będzie nie na sentymentach, lecz na trwałej podstawie dobrze zrozumianego interesu. A wtedy będzie to ład dość silny, by nakazać powszechny dla siebie szacunek, a zarazem dość liberalny, by szacunek ten utrwalić.

Walter Lippmann

TADEUSZ BREZA

Francuskie spotkania*)

W pierwszym reportażu z podróży do Paryża, którą świeżo odbyliśmy z Nałkowską, Iwaszkiewiczem i Rudnickim, przedstawiłem nasze itinerarium i opowiedziałem o najogólniejszych wrażeniach i wzruszeniach. Wspomniałem również, że we Francji zetknęliśmy się z wieloma literackimi sławami i mnóstwem młodych pisarzy i publicystów. Ale dzień nasz był tak wypełniony, że nie mieliśmy czasu na robienie notatek. Toteż tego co przywiozłem — mam na myśli materiał, którego dostarczyły nam rozmowy — nie mogę podać w formie wywiadów z poszczególnymi osobami. Uciekam się więc do wybiegu, łącząc całe grupy rozmów w jedną. Rozmówców moich też nie będę nazywał imieniem własnym bo w ten sposób, w jaki zamierzam to przeprowadzić, nie będą ze mną prowadziły dyskusji osoby konkretne, ale jedynie ogólne punkty widzenia.

I

Mój rozmówca, który to powiada, jest profesorem uniwersytetu i wybitnym krytykiem:

— Miasto Paryż uwolnione zostało, jak pan wie, o pół roku wcześniej od Warszawy czy Krakowa. Niezniszczone, w zasadzie oszczędzone przez Niemców w swoim najcenniejszym ludzkim materiale artystycznym czy naukowym — podźwignęło się już. Niedostatek opału i żywności, który nęka ludność Paryża, w mniejszym stopniu dokucza ludziom sztuki. Każdy z nas ma tutaj jakieś koneksje ze wsią, która jest syta i sycić może kogo chce. Również, jeśli chodzi o pisarzy, ci spośród nas, którzy uprawiają publicystykę literacką czy czysto dziennikarską, znajdują się poza troską o chleb. Paryż więc może myśleć. Ma kim, ma gdzie i ma o czym. Radością z odzyskanej niepodległości nakarmił się już. Teraz z kolei sprawdza czy jest ona na pewno taka sama, jaką miał dawniej. A przekonawszy się, że nie, zastanawia się nad jej wartością i dla porównania tej swojej wolności z cudzymi wolnościami, rozgląda się po świecie.

— Francja całą różnorodnością swoich mózgów myśli o przyszłości. Rzecz prosta, że wspomina niedawną przeszłość i że stara się rozeznać w obecnym stanie, niemniej przyszłość, a raczej sprawa wyboru między kilkoma narzucającymi się projektami na przyszłość, to u nas najpilniejsza sprawa dnia. Przyszłość Francji — choć cała może się zawierać w jednej zasadzie — rozpytuje się o wszystko z osobna. Tylko niektórzy Francuzi — a są to najczęściej komuniści — widzą ją jako jeden określony system. Większość przygotowuje sobie w myślach przyszłość tak jak sałatkę, którą robi się z różnych listków i którą każdy przyprawia do swego smaku. Czy nie uderzyło panów we Francji to, że stopień teoretyzowania maleje u nas w miarę, jak się przechodzi od koncepcji lewicowych na prawo. Marksista tutejszy potrafi z miejsca wystukać na swojej maszynce odpowiedź na wszystko. Odpowiedzi te są u wszystkich jednomyślne i co ważniejsze wszystkie zdolne współżyć razem w logicznym układzie. Kiedy jednak od marksistów człowiek przechodzi do liberałów czy katolików, traci poczucie, że się obraca w jednym systemie. Współczesny liberalizm francuski czy nasz katolicyzm to system systemów. To zbiór systemów. A przede wszystkim, jeśli chodzi o ten ostatni, to nie jest on pojęciem jednoznacznym. „Właściwie Rzymem jesteśmy dzisiaj my!" — na pewno pan usłyszy to zdanie z niejednych ust katolickich. Oczywiście z ust pewnego typu katolików. Istnieje naturalnie inny typ, dla którego nadal tylko Rzym jest Rzymem. Oto dwa skraje naszego katolicyzmu. A pomiędzy nimi ileż miejsca na wariacje! Ale jeszcze więcej udziela go wszelkim wariacjom — liberalizm. Ta doktryna — znów powiem ten zbiór doktryn — również rozciąga się w przestrzeni między dwoma biegunami. Od sceptycyzmu do ufności. Od pewnej zasadniczej postawy, która polega na rozkręcaniu wszelkiej wiary na śrubki, żeby wykazać, że to nic nie jest, aż po zasadniczą postawę pewnej dobrej woli intelektualnej, pewnego kredytu intelektualnego, udzielanego każdej idei i ideologii jako tako logicznej. Liberalizm bowiem jest to zbiorowisko postaw bądź to nicujących lub też na odwrót: pomagierskich, w myśl zasady, żeby każdą ideę czy koncepcję brać in optimum.

— Francja jest krajem intelektualistów — powiada dalej mój rozmówca. — Cały nasz kraj zawiera się w dwu słowach. Pierwsze — to praca, drugie — to myśl. Ale im bardziej Francja się starzeje, tym głębsze zachodzą w obu tych pojęciach procesy. Z zespołu przyczyn, wskutek których człowiek przykłada się do pracy, zwolna bierze górę jedna jedyna przyczyna. Z zespołu jakości, z których składa się myślenie, jedna jakość zaczyna brać górę. Praca dla współczesnego Francuza staje się funkcją ciułania, myśl — błyskotliwością.

— Panowie przybyli do Paryża w półtora roku od jego wyzwolenia, a dopiero od niedawna światło elektryczne w tym mieście świeci się normalnie. Natomiast świetlistość naszej myśli płonęła nieprzerwanie przez cały czas wojny aż do dziś. Niewielu z nas zaprzestało na skutek wojny pracować. Przeciwnie! Wielu z nas czas okupacji zwolnił z codziennych obowiązków. Ci, którzy się ukrywali, jak Julien Benda i tyluset innych, pisali nieprzerwanie. Ci, którzy całą wojnę przeżyli na uboczu, jak i ci, którzy się schronili do Ameryki, jak Romains czy Bernanos, jednym ciągiem pracowali twórczo. W ten sposób powstał ogrom dzieł, kierunków, myśli, rozpraw. Była to głównie płodność teoretyzująca, filozoficzna, eseistyczna, krytyczna, pamiętnikarska. W mniejszym stopniu czysto artystyczna. Podczas waszego pobytu na pewno będzie panom trudno znaleźć sobie przewodnika w tym zatrzęsieniu. Bibliograficznie biorąc, obecnie nasza wytwórczość woła co najmniej setką tytułów na miesiąc. Podczas wojny głos jej był również słyszalny. Taki Jean-Paul Sartre, najhałaśliwsze dziś zjawisko literackie Francji, całą swą drogę ku rozgłosowi przeszedł podczas okupacji. Wjechali tutaj panowie prosto w wielki gąszcz. Narastał on tak, jak nie narastał ani w Rosji Sowieckiej, ani w Ameryce, ani w Anglii, ani w Niemczech, ani zapewne u was. Bo Francja przez większość lat wojny trwała jak gdyby w zawieszeniu. Nie wiodła ani normalnej egzystencji, ani nie prowadziła wojny. Od wyzwolenia to narastanie stało się jeszcze szybsze. Bo w chwili tak decydującej historycznie, każdy z pisarzy i myślicieli chce coś powiedzieć od siebie. Toteż koncepcje w zasadzie noszące na sobie jedną markę różnią się bardzo od siebie indywidualnie. Głos mają również wyznania filozoficzne, różne kierunki i koncepcje zupełnie przez wojnę skompromitowane. Ale klerkowie paryscy każdemu zostawiają miejsce na jego grządkę. Francja nie zna myśli i myślicieli wstydliwych. Nawet taki Mounier, człowiek najwyższej klasy intelektualnej, potrafi jak gdyby nigdy nic podbudować tę czy inną intelektualną tezę myślą zapożyczoną z tekstów Hitlera, potraktowanych w tym momencie tak, jak się traktuje normalnego filozofa. Myśl nasza jest za wiotka, za cienka, za wyrozumiała. Najtwardsi, najbardziej zwarci są jeszcze nasi neoencyklopedyści. Wierzą oni, że ognie myśli francuskiej przewodzić będą intelektualnej rewolucji, która niebawem przetrawi świat.

I mówiąc to, mój rozmówca wzdycha i po chwili dodaje:

— Żeby to również nie były tylko ognie bengalskie!

II

Przyjechaliśmy do Francji właśnie w momencie, kiedy ustąpił generał de Gaulle. Podczas konferencji prasowej na Quai d'Orsay pytamy o powód. Rzecznik ministerstwa nie podaje przyczyny, ale zapewnia, że zmiana na stanowisku szefa rządu nie pociągnie za sobą żadnych zmian. Jeżeli nie pociągnie żadnych zmian, pytamy dalej, to w takim razie po co było zmieniać? Rzecznik śmieje się. Zwalniamy go więc z naszej natarczywości. Zaprasza nas wtedy do wspólnego zdjęcia. Kiedy potem oglądam odbitkę, widzę, żeśmy się sfotografowali na tle portretu generała.

W Akademii Francuskiej Duhamel oraz nowoprzyjęty członek prof. Valléri-Radot wy-

*) Por. „Nasz Paryż" w nr 71 „Odrodzenia".

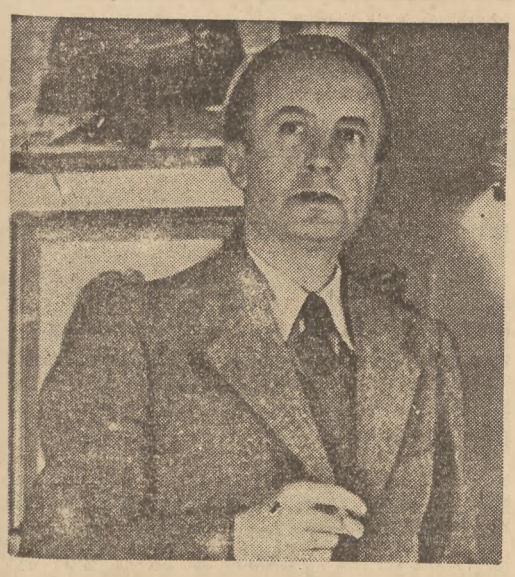

Paul Eluard

głaszają tradycyjne przemówienia. Pod koniec każdego ceremoniał domaga się jakiegoś akcentu patriotycznego. W obu wypadkach służy do tego osoba generała. Wychodząc z Akademii zapytuję pewnego francuskiego pisarza, który dużo o polityce wie.

— Czy prawdą jest, że generał ustąpił dlatego, że...

— Nie! Niech pan nawet nie kończy, bo to na pewno nieprawda. De Gaulle ustąpił wskutek wszystkiego tego, co się dzieje teraz we Francji. A raczej z powodu tego wszystkiego, co się nie może tutaj stać. A stać się nie może nic. Rząd jest pośrodku dwu partii, bo socjaliści to nie jest partia, ale para nogawek, które akurat się rozedrą wtedy, kiedy na to przyjdzie czas. Jesteśmy zatem w środku dwu ustrojów, dwu kolosów, z których jednego to ci, to owi z nas chcą poślubić.

— A nie da się być języczkiem? — pytam.

— Właśnie de Gaulle próbował. Ale cóż? Tylko Rosja zagwarantuje nam Ruhrę, tak samo jak wam tylko Rosja zagwarantuje Nysę. A tylko Ameryka nakarmi nas, da nam złoto i maszyny. Przyszłość nasza, życie nasze jest wyłącznie funkcją zgody między obu kolosami. Widzi pan, że żaden z tych kolosów sam nam nie wystarczy, wystarczy tylko zgoda.

Rozglądam się po ulicach za afiszami. Partie się reklamują, tak jak tego wymaga polityka. Poza tym reklamę sobie czynią pewne pojęcia. „Bóg jest wieczny!", „Król? Czemużby nie!", „Moskwa katem proletariatu!". Dwie ostatnie nalepki, to nalepki kolegów. Kolegów po nielegalności. Dwie są bowiem partie, którym rząd francuski odmówił zalegalizowania. Rojalistom i trockistom. Ale na tych nalepkach i na tych wielkich legalnych afiszach rzadko kiedy spotyka się nazwiska. Francja jest w takiej sytuacji, że robotę propagandową dla partii lepiej załatwiają idee niż twarze. Prócz jednej jedynej! Właśnie de Gaulle'a. Widnieje ona w sklepach, w hallach, w biurach. Oglądam ją również w prywatnym mieszkaniu młodego bardzo lewicowego Francuza, ale jeszcze chodzącego na ideologicznej i partyjnej wolności.

— O! — mówię — Toś ty degaulle'ista!

— Skąd! Tylko, że to jest jedyna gęba francuska, na którą można patrzeć bez wstrętu. I nie myśl, żeby to było wyłącznie moje zdanie. Bo jestem pewien, że od czasu kapitulacji to było zdanie wszystkich I Roosevelta, i Stalina, i Churchilla. Zdaje się, że z punktu widzenia czysto wojskowego, de Gaulle jest wodzem niedobrym. Mówił mi ktoś z waszego wojska, że w Polsce, gdzie de Gaulle był razem z Weygandem jako jego oficer sztabowy, doradzał różne rzeczy pod względem taktycznym takie sobie. Projekty ofensywne, z jakimi wystąpił jako wiceminister obrony narodowej na dwa tygodnie przed upadkiem Francji, trzeba dziś oceniać krytycznie. Jako polityk od momentu wejścia

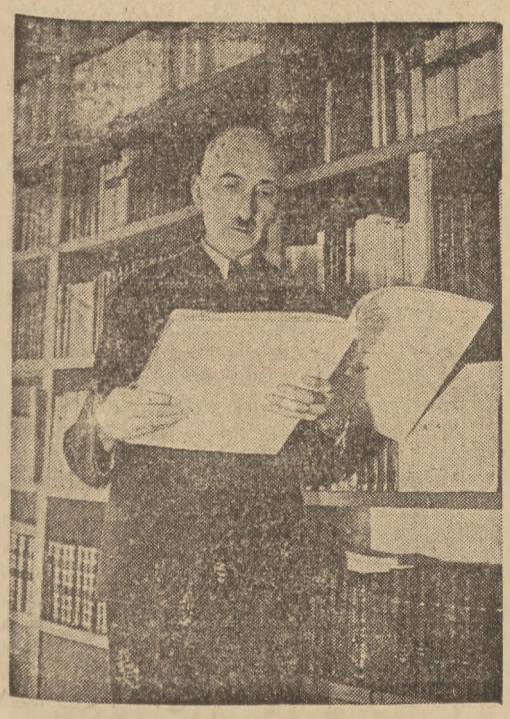

François Mauriac

na grunt francuski zachował się dziwacznie. Rooseveltowi, wracającemu z Jałty, który skierował do niego pismo zapraszające go na konferencję do Dakaru, odpowiedział mniej więcej tak, że dziękuje za zaproszenie do własnego portu — i nie przyjedzie. Thorezowi, sekretarzowi partii komunistycznej we Francji powiedział, co zresztą potem powtórzył publicznie, że komuniści nie mogą zajmować kluczowych stanowisk w państwie, bo wszędzie będą służyć obcemu celowi, a nie swojemu krajowi. Nie wiem, jacy są wasi komuniści, ale wyrazić się tak u nas o komunizmie, opoce, na której zbudowany był nasz opór, to irytujące. Dziś, kiedy decydują się losy Francji, dziś, kiedy ludzie, którzy rządzą Francją, cały wysiłek winni włożyć w to, aby nie dopuścić, by Francja stała się Alzacją i Lotaryngią świata, ten człowiek obnoszący się ze sprawą swego osobistego honoru, który mu kazał żądać pełnomocnictw, ten człowiek wciąż obnoszący się ze sprawą honoru Francji, który nie pozwalał jej ani na chwilę podporządkować się komukolwiek bądź na świecie, nie mógł się utrzymać.

— No, ale sam mówisz, że po kapitulacji on jeden uratował honor Francji.

— Ale teraz są inne potrzeby. Na razie!

III

— Ciekaw jestem, czy pan się dobrze orientuje, dlaczego za wami tutaj tak latają? — zapytuje mnie młody neokatolik, i od razu zabiera się do odpowiedzi.

— Bo jesteście krajem, który się bliziutko podsunął pod samą Rosję Sowiecką, a Rosją Sowiecką nie jest. Istnieje u nas mnóstwo ludzi głęboko przekonanych o tym, że Francję czeka podobny los. Razem z całą Europą! Prócz jakichś tam przyczółków za górami czy wodą. Więc Grecji, Skandynawii, Włoch czy półwyspu pirenejskiego. Resztę tej części świata czeka los podobny do waszego. Stąd nasza ciekawość. Bo tylko od was możemy się już dziś dowiedzieć wszystkich szczegółów o naszym przyszłym życiu. Ja jestem katolik, jak pan wie. Ojciec mój jest socjalistą spod znaku Bluma! Ale cóż? Kiedy porównuję moje czy mojego ojca przekonania z przekonaniami pierwszego lepszego komunisty, widzę, że my reprezentujemy tylko pewne skłonności intelektualne czy światopoglądowe. Przekonania zaś mają wyłącznie oni. Marksiści! Francja jest jak ciężko i zagadkowo chora osoba, nad którą zebrały się różne sławy lekarskie. Sławy te kiwają głowami i wypowiadają pełne zastrzeżeń diagnozy. W drzwiach zaś stanął znachor, ale ten przynajmniej ma jedną cechę kuszącą. Jest całkiem pewien, że ulecz. W ten sposób komuniści muszą dojść we Francji do władzy. Co pan na to?

— Przede wszystkim panu, jako katolikowi, złożę moje kondolencje. Natomiast...

— Pan żartuje! Mnie osobiście jako katolikowi mógłby pan składać kondolencje tylko w tym wypadku, gdyby we Francji zwyciężyli katolicy. Mój żywot intelektualny, żywot mojej myśli, żywot wszystkich pism i kół katolickich z rodzaju tego katolicyzmu, który wyrażam w moich pismach — zawisły jest wyłącznie od faktu, że w kraju jest front i że na tym froncie walczy się z Kościołem. W takich wypadkach dopiero Kościół po brzegach swoich mięknie i dopuszcza do głosu pewne formuły wyznaniowe, dogmatyczne i filozoficzne, które by normalnie zgniótł. Cały świetny współczesny francuski oświecony katolicyzm w zwykłych czasach zostałby wytrzebiony jako herezja. Bo zresztą herezją jest! O istocie herezji bowiem wcale nie przesądza to czy inne odstępstwo dogmatyczne, ale sposób odnoszenia się do Rzymu. Kto się odnosi z wyższością do Rzymu, jest heretykiem. Kto Rzym wyprzedza, ulepsza. Kto chce mieć w rzeczach wiary swoją osobistą opinię, choćby na ostatku wypadła całkiem zgodnie z Kościołem, już jest heretykiem. Jeżeli nawet Rzym takiego człowieka nie wykończy, zrobi to z nim miejscowy katolicyzm, zakrystyjny. Przyszłość chrześcijaństwa, mimo wszystko, należy do nas. Wierzę w to. Ale na to musi się pogłębić odnowa katolicyzmu w naszym kraju i w innych, a przede wszystkim w Rzymie. Dopiero kiedy zdołamy przekonać korpus Kościoła, same jego główne siły, że te nasze paryskie nowinki dobre są nie tylko do kontaktów z rewolucją i przewrotami, ale dobre są raz na zawsze dla Kościoła, byt nasz stanie się trwalszy. Na razie dla elementów konserwatywnych Kościoła jesteśmy czymś w rodzaju hrabicza, syna marnotrawnego zacnej rodziny, czarnej owcy, która w stolicy popadła w najgorsze towarzystwo, ale teraz na wsi, podczas napadu bandytów jest wprost opatrznością, bo potrafi z nimi gadać. Przykrym zjawiskiem dla nas jest również fakt, że w podobnej sytuacji, jaka zapanowała teraz na terenie Francji, mnożą się jak po deszczu różni koniunkturalni katolicy naszego typu. Do wczoraj jeszcze byliśmy dla nich zakałą. Byliśmy dla nich poprzebieranymi w komeżki komunistami, a dziś garną się do nas. I niestety, chcą nami kierować. I niekiedy kierują! Ponieważ ten i ów z nich piastuje wysokie godności kościelne. U siebie w kraju na pewno pan spotyka również takich księży i prałatów, dla których do wczoraj Maritain był masonem, a Mounier uczestnikiem czar-

Pisarze polscy w Paryżu. Na przyjęciu urządzonym na ich cześć (od lewej): J. Iwaszkiewicz, F. Mauriac, Z. Nałkowska, Aragon, Vildrac i St. Skrzeszewski, ambasador Polski.

nych mszy. Dzisiaj zaś podobni księża jeśli wolno tak o nich rzec, sami przebierają się w sutannę i ogonem na taką naszą czarną mszę dzwonią. Z tych wszystkich względów najbardziej boimy się ludzi z samej głębi Kościoła, i tych wciąż jeszcze konserwatywnych i tych z koniunkturalnym dla nas uśmiechem. Oni dla tego, co jest smakiem dzisiejszego francuskiego Kościoła, są o wiele groźniejsi od komunistów. I od rewolucji!

Wybitny młody dziennikarz komunistyczny powiada mi:

— Katolicy i komuniści? Pan ich przeciwstawia? Zupełnie fałszywie! W tym kraju obecnie na jednym biegunie są katolicy i komuniści, a na drugim wszystko co chce spać, co jest zmęczone, wszystko to, co za wszelką cenę chce mieć święty spokój. My, komuniści, jesteśmy sobie z młodzieżą katolicką bardzo bliscy. Łączy nas wiara w to, że świat można przekształcić na lepszy. Łączy nas wiara w to, że są idee. Po prostu wiara w wiarę! I w to, że człowiek dopiero wtedy staje się człowiekiem, kiedy o coś walczy! Oni i my, stanowimy jeden i ten sam brzeg. Gorący! Ten drugi jest zimny. Ten podział Francji na dwa obozy wynieśliśmy jeszcze z lat konspiracji. Proszę!

Mój rozmówca podaje mi małą książeczkę. Tytuł: „Péguy-Péri".

— To jest jeden z tomików „Edition de minuit". Jeden z czterdziestu kilku. Wszystkie one zawierały teksty buntu i protestu. Drukowane były i kolportowane kosztem wielu ofiar i wielkiego trudu. Niejeden człowiek za nie zginął. Ale krzepiły Francję i wiara, którą rozprzestrzeniały, stokrotnie zapłaciła za rany nam zadane. Jeden z tych tomików to słynne „Silence de la Mer" Vercorsa, najpiękniejsze z dzieł zrodzonych z niewoli. Inne, to rzeczy Maritaina, Mauriaca, Aragona, Cassou, Bendy, Paulhana i Eluarda. Każdy dał tekst do książeczki osłaniając się pseudonimem. Ale była to przejrzysta zasłona. Styl zdradzał autora. Mauriac po swoim tomiku musiał zmienić mieszkanie. Ten, który panu pokazuję, poświęcony jest dwu pisarzom. Obaj zginęli za Francję. Péguy, słynny pisarz katolicki, podczas tamtej, Péri, wspaniały publicysta komunistyczny, podczas tej wojny. Zabili go Niemcy. Widzi pan, że te nazwiska od siebie nie odskakują. Pojmuje pan również co je łączy. Nie tylko wspólna śmierć. Ale przede wszystkim wspólne życie. Kiedy dla tego bojowego komunisty trzeba było znaleźć adwokata, zgłosił się w pétainowskiej Francji i bronił go z olbrzymią odwagą i przekonaniem tylko jeden obrońca, młoda paryska adwokatka, czynna i praktykująca katoliczka. A podczas konspiracji! My kolportowaliśmy ich pisma, a oni nasze. I nie przez żadną umowę o świadczeniach wymiennych. Tylko tak jak dwaj żołnierze, z których każdy ma broń innej marki. Ja jemu jak mogę dostarczam jego naboi, a on mnie. O! Proszę tu spojrzeć — mój rozmówca wyciąga z teczki różne pisma — tu ma pan niedawny numer „Action", to jest pismo komunistyczne. Oto artykuł o admirale Thierrym d'Argenlieu. Piszemy o nim jak o najbardziej naszym człowieku. A wie pan, kto to jest. Kiedyś oficer marynarki. Potem karmelita, a nawet przeor. Jego kardynał dał mu urlop. Karmelita przeszedł do de Gaulle'a, dokonał pięknych wojennych czynów, jeszcze teraz jest potrzebny Francji w Indochinach. W końcu oczywiście wróci do swojej ciszy. Bóg z nim! To jest chciałem powiedzieć — jego rzecz! A mimo to, to jest klasycznie nasz człowiek. Próbujemy tu właśnie dać analizę jego postępku. Postępku człowieka, który wierzy nie dla własnego komfortu, ale dla ludzi. Jeżeli w jakimś momencie on sam jest bardziej potrzebny ludziom, niźli jego wzloty, wzloty idą na bok, a on sam rusza na najśmielsze wody. To piękne! Albo tu ma pan nazwisko Mauriaca. Wciąż mówimy naszym czytelnikom o jego wielkości. To jest człowiek czystej prawdy. Jego analiza świata mieszczańskiego, zresztą jego własnego, jest czynem wielkiego znaczenia społecznego, wielkiego rozumu i przenikliwości. Albo Bernanos. Nieustępliwy, walczący, bezkompromisowy. Doprawdy ludzie się dzielą tylko na dwa gatunki, na tych, którzy wierzą, że z świata jeszcze coś będzie, i tych, którzy nie wierzą. Ta klamra wiary spina naszą partię w jedno z tymi wszystkimi, o których tu mówię.

Odwracam pierwszą stronę numeru komunistycznych „Lettres Françaises" z wielkim, pokłonnym artykułem o Mauriacu i patrzę co jest na drugiej. Jest tam cały szereg rysuneczków z osobą Boga Ojca w karykaturze. Pisarz, z którym rozmawiam, idzie za moim wzrokiem i powiada dając przytyka w te rysunki:

— No! Oczywiście katolicy mają swoje rzeczy nie do przyjęcia. Na przykład to!

IV

Pierwszy Jan Kott przywiózł z Paryża wiadomość, że panuje tam egzystencjalizm. Różny od niemieckiego, zwłaszcza od tego, który się dał zastosować do nazizmu. Ale w czym różny, Kott nie wiedział, bo jeszcze przywiezionych tekstów nie zgryzł. Podczas wojny tworem Martina Heideggera zajmował się w Polsce Mieczysław Milbrand, który poniósł śmierć w powstaniu. Sama nazwa — egzystencjalizmu — pochodzi od Kierkegaarda. Naczelny metafizyczny chwyt tej filozofii ma datę jeszcze wcześniejszą. „Świat jest wprawdzie tylko zjawiskiem, ale człowiek bez świata, sam przez się, jest niczym". W te stare szczypce twórcy egzystencjalizmu, Heidegger i Jaspers, ujęli jednak mnóstwo zupełnie nowoczesnych myśli, czyniąc je, mimo ich wielkiej abstrakcji, bardzo dzisiejszymi. W wersji niemieckiej wywody tej filozofii są ciężkie, we francuskiej natomiast, zwłaszcza w wersji J. P. Sartre'a, właśnie są pełne powabu, literacko uwodzące tak, jak w swoim czasie uwodził bergsonizm.

— Co mnie zachwyca w egzystencjalizmie — wyznaje mi jego młody entuzjasta — to jego ton taki współczesny. Ten sam ton, który w psychologii wyczuwam u Adlera czy Freuda, a w fizyce u Einsteina czy Eddingtona. W egzystencjalizmie nareszcie znajduję filozofię o podobnym poziomie współczesności. Na obwolucie biblii francuskich egzystencjalistów, na „L'être et le néant" Sartre'a, wyczyta pan taki napis: — „Myśląc o naczyniu, za istniejącą trzeba uznać przede wszystkim pustkę jego wnętrza". Jest to zdanie fund-

mentalne dla całej filozofii Sartre'a. Czy nie ma ono dla pana tego samego intelektualnego smaczku co prawdy logistyki, semantyki, psychologii głębi czy najnowszej fizyki, wedle której wszechświat jest w przestrzeni skończony i ma kształt zakrzywionego rożka. Mnie ten rożek raduje specjalnie, bo pewien jestem, że podobny wynik obliczeń mógłby przewidzieć Apollinaire albo niejeden z surrealistów. Według mego zdania, współczesność w nauce polega przede wszystkim na tym, żeby za pomocą niesłychanie ścisłych obliczeń i najskrupulatniejszych metod dawać z całej siły w pysk zdrowemu rozsądkowi. Sartre daje.

Słuchając mego informatora zaglądam do monografii poświęconej temu filozofowi, powieściopisarzowi i dramaturgowi. Przedmowa kończy się następująco: „Poza tym dzięki niezmiernie przyjaznej dobrej woli J. P. Sartre'a, który w czasie tych kilku dni przeznaczonych przez wydawcę na poprawki, nie wahał się użyczyć mi odbitek korektorskich swojej nowej powieści pt. „Zawieszenie", mogłem w mojej książce uwzględnić jego ostatnie dzieło. W zamian za tę oznakę najbardziej ufnej przyjaźni, niech jego autor odnajdzie na tych kartach wyraz mojej najżywszej wdzięczności, której dowodem będzie sposób, w jaki się przykładałem, aby wiernie odzwierciedlić jego myśl".

— Mounier niedawno oświadczył — powiada mi inny bałwochwalca Sartre'a, — że we Francji istnieją obecnie tylko trzy filozofie aktywne i rozwijające się: — marksizm, personalizm i egzystencjalizm. A Mounier to nie jest nasz przyjaciel. Tylko, że widzi, co się dzieje Wszystko co nosi na sobie znaczek, że ma z egzystencjalizmem coś wspólnego, natychmiast budzi u ludzi najmocniejsze zainteresowanie. Niedawno miałem wykład na pewien temat z filozofii sartrowskiej. Zaraz po zakończeniu otrzymałem kilkanaście propozycji, żebym ten wykład powtórzył. A przecież mówiłem o poglądzie zupełnie ubocznym. O tzw. „teorii niweczenia". Zna to pan? Że w życiu niweczymy wszystko, co jest nam obojętne i wszystko co nam jest wrogie. Rzeczy obojętne w ogóle i rzeczy obojętne w danej chwili. Jeżeli więc zwracamy uwagę na jakąś rzecz, tym samym niweczymy wszystkie inne na świecie. Jeżeli w danym momencie obdarowujemy uczuciem jakąś kobietę, tym samym niweczymy wszystkie inne. Ale człowiek niweczy nie tylko to wszystko, co jest mu obojętne, ale przede wszystkim to, co mu jest wrogie. I to co mu zagraża. Istnieją dwa zasadnicze chwyty niweczące: konkretny i ontologiczny. Pomówmy o tym drugim, jedynie interesującym pod względem filozoficznym. Wyobraźmy sobie człowieka i zbliżającą się do niego dziką bestię. Człowiek jest bezbronny. Nogi się pod nim uginają, serce mu zamiera ze strachu, mdleje. Cóż takiego uczynił? Na swój sposób zniweczył drapieżną bestię.

— Już ona mu się za to odpłaci! — uśmiecham się. — Czy to był przykład z sartrowskiej teorii taktyki? — pytam.

— Nie to jest z jego teorii uczuć!

— Mogę panu stosunkowo dużo opowiedzieć na temat ich filozofii — mówi mi raz podczas przechadzki inny rozmówca, znakomity publicysta komunistyczny. — I mogę panu równie dużo powiedzieć o ich literaturze. Ale na temat tego, dlaczego taka literatura ma akurat się ugruntować na takiej filozofii, a taka filozofia krystalizować w takiej literaturze, nie powiem panu nic. Sartre czy Camus by panu powiedzieli, zresztą rzeczy zupełnie zwodnicze, ale obaj są w tej chwili poza Paryżem. Do obu tych pisarzy, osobiście, odnoszę się z szacunkiem. Pierwsze książki Sartre'a („La nausée" i „Le mur") są, literacko biorąc, cudowne. Następne to humbug. On sam zresztą, jak i Camus, podczas okupacji zachowywał się doskonale. Sartre był członkiem Narodowego Komitetu Pisarzy, brał czynny udział w mnóstwie niebezpiecznych imprez. Ale wpływ jego na młodych, sam ruch, samą tę filozofię uważam za złą i szkodliwą. Egzystencjalizm to nietzscheanizm dla impotentów. Nietzsche wzywał człowieka, aby swe istnienie potwierdzał czynem. Sartre zwraca ludziom uwagę na to, że jeżeli chcą potwierdzić swoje istnienie, niech wykonają jakikolwiek bądź postępek. Wszystko jedno co, aby wciąż. Inaczej na cały czas ich bezczynności pochłonie ich nicość. Życiowo biorąc filozofia ta rodzi ciąg bezmyślnych aktów. Bo etycznie, wedle Sartre'a, obojętne jest, którędy człowiek ucieka przed zewsząd na niego czyhającą jego własną nicością. Bliżsi uczniowie Sartre'a rozumieją sprawę właśnie tak. Natomiast ten tłum który tak chętnie bierze do ręki lada powieść egzystencjalisty czy zasiada w teatrze, aby posłuchać którejś z ich sztuk, doznaje zupełnie czego innego. Podnieca go poczucie, że wchłania filozofię.

Rozmówca mój zatrzymuje mnie przed wystawą kosmetyków Elizabeth Arden

— O! Proszę spojrzeć, w jaki sposób fabrykanci reklamują teraz takie maści. Tym, że zawierają one trochę witamin. W ten sam sposób powieściopisarz egzystencjalista reklamuje swoje książki. Tym, że zawierają one trochę filozofii. Ale w tym wypadku to zupełna bajda takie witaminy.

Tadeusz Breza

ADAM SCHAFF

Nauki przyrodnicze i filozofia

POLEMIKA IDEOLOGICZNA I PRZYRODOZNAWSTWO

Gdy się przegląda czasopisma polskie, w których rozgorzała ostatnio namiętna dyskusja ideologiczna między zwolennikami i przeciwnikami materializmu filozoficznego, uderza nas fakt zupełnej absencji w tej dyskusji przedstawicieli nauk przyrodniczych. Dyskusja toczy się ciągle w ramach humanistyki. Są tacy, którzy twierdzą, iż jest to rzecz naturalna, gdyż zagadnienia filozoficzne są natury humanistycznej i nauki przyrodnicze niewiele miałyby do powiedzenia. Złośliwi twierdzą natomiast, iż ta absencja dobrze świadczy o przedstawicielach nauk przyrodniczych, których absorbują poważniejsze zagadnienia, aniżeli filozoficzne przelewanie z pustego w próżne. Ale ani ci zaprzysiężeni zwolennicy humanistyki, ani równie zaprzysiężeni jej wrogowie nie mają racji. Przyczyna tkwi o wiele głębiej i wzmiankowany przez nas fakt jest niezawodnie sygnałem pewnego kryzysu, jaki przeżywa nasze przyrodoznawstwo. Nie idzie tu, naturalnie, o przymus uczestniczenia w tej czy innej dyskusji, ale o to, że brak szerszych zainteresowań teoretycznych, którego ta powściągliwość jest dowodem, jest zjawiskiem chorobowym, odznaczającym się ujemnie na tle ogólnego rozwoju współczesnego przyrodoznawstwa.

Nie jesteśmy jedyni i izolowani z naszymi zagadnieniami, polemikami i walkami ideologicznymi. Polska nie stanowi wyjątku, ani nie doprowadziła do wybujałości sporów ideologicznych. Przypatrzmy się pismom teoretycznym i politycznym we Francji, w Czechosłowacji, w Anglii, a zobaczymy, że kraje te przeżywają te same zagadnienia co my, że trapią je te same trudności. Są pewne problemy, które unoszą się niejako „w atmosferze epoki". Problemy, które zrodził rozwój nauki, postawił na ostrzu i domaga się ich rozwiązania. Nie mają też racji ci, co uważają, że polemiki te są u nas przedwczesne, że wywołują rozbicie społeczeństwa, że mogą szkodzić sprawie jedności demokracji. Zagadnienia te są nie tylko żywotne, ale powinny i **muszą** być stawiane w społeczeństwie, bo domaga się tego rozwój nauki. I u nas i gdzie indziej. Taka walka ideologiczna nie może być szkodliwa dla sprawy demokracji, przeciwnie, wszczęcie po raz pierwszy od wielu lat otwartej i nieskrępowanej dyskusji ideologicznej, która i tak musi się rozwinąć, jest wyrazem tężyzny naszej demokracji, dowodem demokratyzacji opinii publicznej. A to jest bez wątpienia osiągnięcie pozytywne.

Porównując nasze stosunki polskie z zagranicą, nie można się dopatrzyć niczego nadzwyczajnego w samym fakcie, zażartej nawet chwilami, dyskusji ideologicznej. W porównaniu jednak z zagranicą musi uderzyć nas fakt, że jest to dyskusja czysto humanistyczna, i dodajmy otwarcie, dyskusja często jałowa, wobec biernego ustosunkowania się przyrodoznawstwa do zagadnień ideologicznych.

Przeprowadźmy analogię z Francją. Kto wysuwa się dziś na czoło toczącej się tam dyskusji ideologicznej? Fizyk Langevin, biolog Prenant, fizyk Joliot, agronom Theissière.

Przypatrzmy się nauce Związku Radzieckiego. Kto przemawia dziś w imieniu filozofii, rozstrzygając podstawowe zagadnienia teorii poznania, ontologii i metodologii? Przede wszystkim przedstawiciele nauk przyrodniczych, fizycy, członkowie Akademii Nauk: Wawiłow, Mitkiewicz, Maksimow, fizjolog Frołow i wielu innych.

Zachodnio-europejskie przyrodoznawstwo, w szczególności fizyka, wykazuje również wyraźne tendencje filozoficzne. I w przeszłości i obecnie. Nie zawsze była to filozofia najwłaściwsza i nie zawsze dobrze świadczyła o swych twórcach. Ale była i musiała być, bo problematyka nauk przyrodniczych łączy się organicznie z problematyką filozoficzną. Szła ona w rozmaitych, niejednokrotnie wręcz diametralnych kierunkach. Był Haeckel — materialista, potępiający materializm i był Ostwald. Byli Sieczonow i Pawłow, twórcy materialistycznych podstaw nauki o wyższych funkcjach psychicznych oraz Mach i Avenarius, którzy pod płaszczykiem „empiryzmu" uprawiali kontrabandę subiektywnego idealizmu. Filozoficzne wnioski ze swych badań specjalnych wyciągają Planck, Schrödinger, Heisenberg, Einstein, Eddington, Jeans. Nie interesuje nas w tej chwili, jakie są te wnioski, nie zajmujemy wobec nich stanowiska. Stwierdzamy jednak fakt, że filozofia wiąże się nierozdzielnie z przyrodoznawstwem w najszerszym tego słowa znaczeniu. I inaczej być nie może. Mówić o materii, nie znając jej struktury, o duszy, nie znając mechaniki funkcji psychicznych, o causa efficiens i causa finalis, nie mając pojęcia o realnych stosunkach rzeczywistości, można było tylko w średniowieczu, w dobie filozofii scholastycznej. Ale nie dzisiaj. Wtedy była to spekulacja, ale wtedy nie można było inaczej rozwiązywać zagadnień i dlatego filozofia ta ma często charakter pozytywny, postępowy. Dziś oderwana od nauk pozytywnych spekulacja filozoficzna na te tematy jest nie tylko czczą spekulacją, ale jest wsteczna i zacofana.

Jak w tym świetle wygląda absolutne milczenie naszego przyrodoznawstwa? Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że w naszej literaturze publicystyczno-naukowej pojawił się właściwie jeden tylko poważniejszy artykuł z dziedziny fizyki, a mianowicie „Czym jest materia" prof. Białobrzeskiego („Nauka i Sztuka", nr 2—3) i że filozoficzny sens tego artykułu sprowadza się do krótkiego zdania, w którym autor powiada „iż nie wie, co to jest materia", — to bilans jest rzeczywiście nieszczególny.

Gdzie leżą przyczyny tego zjawiska?

Bynajmniej nie w tym, że brak u nas wybitnych przedstawicieli nauk przyrodniczych. Przeciwnie. Uczonych w dziedzinach specjalnych mamy i to nienajgorszych. Zachowują oni jednak wyniosłe milczenie.

Nierzadko spotykamy się u przedstawicieli tzw. nauk pozytywnych z pogardliwym stosunkiem do humanistyki w ogóle, a do filozofii w szczególności. Jest to wyniosłość przedstawicieli nauk eksperymentalnych względem „spekulacji; do niczego pozytywnego ona nie prowadzi. Należy przyznać, że i wśród filozofów nie brak takich, którzy ze współczuciem patrzą na „pełzający empiryzm", tak daleki od ścisłości metodologicznej filozofii. Historia nauki dowodzi, że taka jednostronność jak bumerang uderza w tego, kto na niej opiera swe istnienie. „Idiosynkrazja" przyrodoznawstwa do zagadnień filozoficznych ma swe historyczne korzenie, o których należy pomówić, zanim przejdziemy do dalszych rozważań.

HISTORYCZNA PUŚCIZNA

Powtarzamy: negatywny stosunek przyrodoznawstwa do dociekań filozoficznych, świadome zamknięcie się w ramach czysto pozytywnych badań ma swe historyczne uzasadnienie.

Zetknięcie się współczesnego przyrodoznawstwa z filozofią nastąpiło w okresie najmniej przychylnym dla nawiązania i kontynuacji ściślejszej łączności. Gdy współczesne przyrodoznawstwo stawiać zaczęło pierwsze bardziej zdecydowane kroki z początkiem ubiegłego stulecia, ówczesna filozofia spekulatywna dogorywała. To, czym mogła uraczyć nauki pozytywne, to były różnego rodzaju „naturfilozofie", wedle których, zgodnie ze słynnym powiedzeniem Hegla, tym gorzej było dla rzeczywistości, jeśli nie zgadzała się z systemem. Dla szybko rozwijających się nauk pozytywnych było to pożywienie niestrawne. Na tle niezgodności spekulatywnych dociekań filozoficznych z rzeczywistością i jej naukowym odbiciem zaczął się kryzys filozofii. Temu kryzysowi dali wyraz Marx i Engels. Wedle nich zadania dotychczasowej filozofii (tzn. filozofii spekulatywnej) przechodzą na nauki pozytywne, które winny samodzielnie określić swój stosunek do rzeczywistości, rozwijając własny system filozofii naukowej, stanowiącej najwyższe uogólnienie wyników badań nauk pozytywnych. Ale ten głos protestu jest głosem charakterystycznym dla ówczesnej nauki. Jeśli Marx i Engels, mając szersze horyzonty i rozumiejąc konieczność filozofii, potrafili przy tym wznieść się ponad prostą negację, to większość przedstawicieli nauk pozytywnych poprzestaje na odrzuceniu filozofii. Jak głęboko zakorzenione było to szkodliwe stanowisko, świadczy chociażby fakt, że Avenarius uważa w końcu XIX wieku za konieczne poświęcić odrębną rozprawę wyjaśnieniu zagadnienia, czy filozofia jest możliwa jako nauka.

Ten negatywny stosunek, który obserwujemy jeszcze ciągle wśród przyrodoznawców, jeśli idzie o filozofię, posiada więc historyczny charakter. Nie ulega wątpliwości, że nauki przyrodnicze i filozofia różnią się zasadniczo w metodach badań, co wynika z charakteru przedmiotu. Ale po zmianie koncepcji istoty i zadań filozofii, po odrzuceniu wszelkich prób tworzenia filozofii stojącej „nad" naukami pozytywnymi, niezależnej od nich i dyktującej im prawidła, po oparciu filozofii o dobrze zrozumiany empiryzm, nie ma podstaw do tej negacji filozofii, negacji uzasadnionej dawniej, w przeszłości. Mówimy oczywiście nie o każdym systemie filozoficznym, lecz tylko o tych, które wypełniają wymienione przez nas warunki. Dla pozytywnego badacza przyrody — jeśli myśli konsekwentnie — nie do przyjęcia są te systemy idealistyczne, które są jedynie epigońską przeróbką pomysłów klasyków. Epigonów tych odrzucił już w swoim czasie poza burtę rozwój nauki.

Zreformowana, antyspekulatywna filozofia, stawiająca sobie jako cel uogólnienie rezultatów badań nauk pozytywnych, nie tylko nie jest z nimi sprzeczna, ale co więcej jest koniecznym ich uzupełnieniem jako teoretyczne uogólnienie i jako metodologiczna podstawa. Tak pojęta filozofia nie może istnieć z dala od nauk pozytywnych, będzie bowiem ich teoretycznym i metodologicznym oparciem. Stosunek ten jest dwustronny i nierozerwalny.

CZY NAUKI PRZYRODNICZE MOGĄ SIĘ OBEJŚĆ BEZ FILOZOFICZNYCH UOGÓLNIEŃ?

Jeśliby można było sprowadzić nauki przyrodnicze do prostego gromadzenia materiału pozytywnego, do gromadzenia faktów, odpowiedź na postawione przez nas pytanie byłaby nietrudna. Żadna gałąź nauki — jeśli to ma być rzeczywiście nauka — nie może poprzestać na tak prymitywnym zadaniu. Materiał nagromadzony tylko wówczas posiada wartość poznawczą, jeśli został w jakiś sposób uporządkowany. Systematyzacja materiału wkracza już jednak w dziedzinę teorii. Poza systematyzacją materiału konieczne jest uogólnienie, prowadzące do powiązania określonej dziedziny badań z całą rzeczywistością. A to jest zagadnienie par excellence teoretyczne, zwłaszcza im dalej posuwamy się w tym uogólnianiu.

Badając nauki przyrodnicze i ich prawa rozwojowe, Engels dobitnie podkreślił ten wewnętrzny, nierozerwalny związek badań pozytywnych z dociekaniami teoretycznymi.

„Empiryczne przyrodoznawstwo" — pisze Engels w „Dialektyce przyrody" — „nagromadziło taką masę materiału pozytywnego, że jego systematyzacja w każdej poszczególnej dziedzinie badania i ułożenie z punktu widzenia wewnętrznego związku są konieczne. Równie konieczne stało się właściwe powiązanie poszczególnych dziedzin poznania. Lecz, zająwszy się tym zadaniem, przyrodoznawstwo wkracza w dziedzinę teorii, gdzie metody empiryzmu są bezsilne, gdzie tylko teoretyczne myślenie może się okazać pomocne. A teoretyczne myślenie jest właściwością wrodzoną jedynie jako zdolność. Trzeba ją stale rozwijać i udoskonalać, a dla tego konieczne są właśnie studia nad historią filozofii".

Są dwie możliwości. Albo każda gałąź wiedzy będzie opracowywała to zagadnienie samodzielnie, albo też powstanie specjalna nauka, której przedmiotem będzie badanie tych najogólniejszych prawideł, które są wspólne wszystkim naukom pozytywnym. Rozwój nauki poszedł w obu kierunkach. Każda gałąź nauki ma swoją sferę badań teoretycznych, uwzględniających systematyzację materiału, metodologię i związki wzajemne z innymi dziedzinami. Są to jednak uogólnienia **specyficzne** dla danej dyscypliny. Słowem, powstaje to, co nazywamy filozofią danej nauki. Jednocześnie istnieją badania, dotyczące najogólniejszych praw jako też związków, które nie są specyficzne dla jednej jakiejś dziedziny, lecz są wspólne wiedzy ludzkiej, pojętej jako całość i zostają wyodrębnione w dziedzinę specjalną — filozofię w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wyodrębnienie takie jest koniecznością, podyktowaną zasadą ekonomii myślenia. Jeśliby nie było wyodrębnionej filozofii, istniałaby ona jako część składowa, jako najwyższe uogólnienie każdej dyscypliny naukowej, na skutek czego nauki pozytywne byłyby obarczone dodatkowym balastem, co ujemnie odbiłoby się i na naukach pozytywnych i na filozoficznych uogólnieniach. Na pierwszych dlatego, że musiałyby one poświęcić poważną część swych badań tym ogólnym zagadnieniom, które obecnie bezpośrednio ich nie dotyczą. Na drugich, ponieważ traktowanoby je zawsze dorywczo, ubocznie, a brak ogólnego obrazu wysuwałby konieczność odrębnych dociekań światopoglądowych.

W tej czy innej formie nauki pozytywne nie mogą uniknąć stawiania i rozwiązywania problemów natury ogólnej, jak zagadnienie istoty materii, przyczynowości, podstaw naszego poznawania zjawisk, metodologicznych przesłanek wszelkiego badania itd. Słowem, **nie mogą uniknąć filozofowania**, bo filozofowanie jest nieodłączną, konieczną częścią składową ich badań pozytywnych. Jeżeli ich przedstawicielom się zdaje, że uniknęli grzechu filozofowania, popeniają go — jak świadczy o tym historia nauki — nieświadomie i w dodatku nieumiejętnie. Z tego punktu widzenia doniosłe było ostrzeżenie, po dziś dzień aktualne, jakie Engels skierował pod adresem przyrodoznawstwa jeszcze z końcem ubiegłego stulecia.

„Przedstawiciele przyrodoznawstwa wyobrażają sobie" — pisał Engels w „Dialektyce przyrody", — „że wyzwalają się od filozofii gdy ją ignorują lub łają. Ponieważ jednak nie mogą zrobić ni kroku naprzód bez myślenia, a dla myślenia konieczne są logiczne

definicje, te zaś czerpią niebacznie bądź z normalnych wiadomości tzw. wykształconych ludzi, nad którymi panują resztki od dawna do przeszłości należących systemów filozoficznych, bądź z okruchów obowiązkowych uniwersyteckich kursów filozofii..., bądź też z niekrytycznej i niesystematycznej lektury różnego rodzaju dzieł filozoficznych, — to w rezultacie dostają się jednak w niewolę filozofii, lecz niestety, najczęściej najgorszej. **I oto ludzie, którzy szczególnie gorliwie łają filozofię, stają się niewolnikami najgorszych, zwulgaryzowanych resztek najgorszych systemów filozoficznych".**

Analiza ta jest dowodem niezwykłej przenikliwości Engelsa i zasługuje na szczególne uznanie, zwłaszcza, jeśli rozpatrujemy współczesny kryzys fizyki.

KRYZYS WSPÓŁCZESNEJ FIZYKI I JEGO TEORETYCZNE ODBICIE

Nie ulega wątpliwości, że współczesna fizyka przeżywa poważny kryzys, który zaczął się na przełomie XIX i XX stulecia. Kruszą się podstawy dawnych teorii. To, co było dogmatem, rozlatuje się w nicość. Idzie nie tylko o poszczególne fakty, o pojedyncze koncepcje, ale i o same podstawy dotychczasowego myślenia, którym coraz wyraźniej zagrażają nowe zdobycze nauki. Lenin, analizując oznaki chorobowe współczesnej fizyki, ujął swą diagnozę kryzysu w lapidarnym sformułowaniu.

„**Istota** kryzysu współczesnej fizyki polega na rozbiciu starych praw i podstawowych zasad", — pisze Lenin w „Materializmie i empiriokrytycyzmie" — „na odrzucaniu istnienia obiektywnej rzeczywistości poza świadomością, tj. na zastąpieniu materializmu przez idealizm i agnostycyzm".

„Współczesna fizyka rodzi. Rodzi ona" — pisze Lenin w innym miejscu — „materializm dialektyczny. Poród jest bolesny. Prócz żywej i zdolnej do życia istoty daje on z konieczności i pewne produkty martwe, pewne odpadki, które należy wyrzucić do zbiornika nieczystości. Do tych nieczystości zaliczyć należy cały fizykalny idealizm, całą empiriokrytyczną filozofię wraz z empiriosymbolizmem, empiriomonizmem itp."

Pogłębiając naszą wiedzę i odkrywając przed nami zupełnie nowy obraz rzeczywistości, badania naukowe spowodowały poważny zamęt teoretyczny. Rozwój teorii, uogólnienie rezultatów badań nauk pozytywnych, pozostaje w tyle za rozwojem tych nauk Ta rozbieżność staje się zrozumiała, gdy uwzględnimy, że dziedzina teorii posiada względną samodzielność i że inercja może przez pewien czas sprzyjać rozwojowi w określonym kierunku, chociaż właściwie nie ma już podstaw realnych dla rozwoju. Trudniej jest przestawić ogólne zasady i kierunek myślenia, aniżeli zarejestrować nowe fakty. Odkrycie dwoistej — korpuskularno-falowej — istoty materii jest zdarzeniem wielkim, ale prawdziwą rewolucją jest dopiero wypływający zeń wniosek o sprzecznej istocie rzeczywistości. Takie rewolucje muszą dojrzewać i napotykają na niezwykle silny opór rutyny, tradycji, zastarzałych pojęć i zastanego sposobu myślenia, tego, co jest najbardziej konserwatywne w człowieku i najtrudniejsze do zwalczenia. Stąd rozdźwięki między pozytywnymi badaniami i ich teoretycznym uogólnieniem. Stąd mylne teorie, które wobec braku gruntownej znajomości filozofii, wobec negatywnego do niej stosunku, żywiołowo wysuwają się i muszą się wysuwać na pierwszy plan.

Przed wielkimi odkryciami z dziedziny elektrodynamiki i elektronowej struktury materii w XIX i XX w., niejako dogmatem były pojęcia klasycznej mechaniki newtonowskiej. Dla jej przedstawicieli materia i najdrobniejsze jej cząstki — atomy i molekuły — były to ciała odgraniczone płaszczyznami, ciała, posiadające cechę nieprzenikalności i niezmienną masę. Masa była utożsamiona z materią. Nowe badania zjawisk elektromagnetycznych a następnie odkrycie skomplikowanego świata wewnątrz-atomowego powodują zupełną rewolucję w naszych wiadomościach o strukturze materii. Elektrodynamika odrzuca pojęcie materii ostro odgraniczonej jakimiś płaszczyznami. Materia traci swe pierwotne atrybuty: nieprzenikalność, niezmienność masy, która okazuje się zmienną, a wreszcie i samą masę, gdy zostają odkryte cząstki, posiadające tylko ładunek elektryczny, ale nie posiadające masy. Wreszcie odkrycie przez de Broglie dwoistej istoty materii, która **równocześnie** jest cząstką i falą energetyczną, ostatecznie burzy stare pojęcia.

Stąd liczni przyrodoznawcy wysnuli wniosek, że „materia znikła" i gotowi byli tryumfalnie obwieścić krach materializmu.

Jest to klasyczny przykład, na którym można wykazać słuszność tezy Engelsa, że ci, którzy mniemają, iż wyzwalają się z objęć filozofii, wpadają faktycznie w jej objęcia, z tą tylko różnicą, iż jest to filozofia najgorszego gatunku. Zwrot ku idealizmowi, który propagowały wzmiankowane teorie, jest naturalnie również swego rodzaju filozofią, filozofią idealistyczną i subiektywną. A droga do subiektywnego idealizmu, a więc do filozofii, prowadzi przez ignorowanie filozofii, albo gorzej jeszcze, przez ignorancję filozoficzną. Bo tylko ignorant nie widzi różnicy między filozoficznym a fizykalnym pojęciem materii. Dla filozofii, od czasów francuskiego materializmu, materią jest to, co istnieje **niezależnie** od umysłu i jest źródłem naszego poznania. Filozoficzne pojęcie materii jest związane tylko z jej obiektywnym charakterem i jest niezależne od takiej czy innej jej struktury. Natomiast materia w pojęciu fizyki jest równoznaczna z pojęciem **struktury.** Rewolucyjne odkrycia przyrodoznawstwa zmieniły więc fizykalne pojęcia materii, ale **tylko** fizykalne. Pojęcie filozoficzne zostało nienaruszone, bo nikt nie udowodnił, że jest ona tworem naszych zmysłów. Nie materia więc znikła, lecz tylko zmieniły się nasze pojęcia o jej strukturze, znikła ta granica, która dotąd uniemożliwiała nasze poznanie rzeczywistości. Fala energetyczna jest równie obiektywna jak cząsteczka materialna i odkrycie jej w żadnym wypadku nie zagraża materializmowi.

Ignorowanie filozofii mści się najwyraźniej na badaczach, sprowadzając ich na manowce. Wyobraźmy sobie bowiem badacza, który na serio stanąłby na stanowisku subiektywnego idealizmu, przyjmując, iż badana przezeń rzeczywistość i ustalana prawidłowość są subiektywnym wytworem jego „ja". Równałoby się to likwidacji przyrodoznawstwa. Na szczęście takie stanowisko należy do patologicznych chyba wyjątków i nie ma badacza, który wziąłby na serio twierdzenie, że przedmiot jego badań nie istnieje obiektywnie.

Takich wypaczeń, związanych z nieznajomością filozofii, można by wykazać wiele. Zupełnie inną sprawą jest podłoże społeczne tego błędu i częstotliwość, z jaką jest popełniany. Coraz wyraźniej jednak zaznacza się różnica między faktami naukowymi i ich uogólnieniem teoretycznym.

Teoria Plancka i Schrödingera oraz badania Heisenberga nad mikrokosmosem, które uwieńczone zostały odkryciem prawa o stałej niedokładności pomiaru cząstek, niewątpliwie modyfikują dotychczasowe pojęcie przyczynowości, wiążąc je z rachunkiem prawdopodobieństwa. Badania te jednak tak samo nie obalają zasady przyczynowości, jak współczesne badania struktury materii nie obalają materializmu. Huczek „indeterministyczny", który powstał wokół tej teorii, wywodzi się z odległych od ścisłej nauki i filozofii, zupełnie jednak określonych przyczyn i jaskrawo zdąża do praktycznych celów.

Jeszcze więcej wyrazistości nabiera sprawa w związku z teorią względności Einsteina. Teoria ta, z jej koncepcją czaso-przestrzeni, powiązana z grawitacją materii, jest wyraźnym potwierdzeniem tezy materializmu dialektycznego o obiektywnym charakterze czasu i przestrzeni jako form istnienia materii. Cóż zrobiono jednak z tzw. czwartym wymiarem, który stał się wręcz podstawą dla mistycznych spekulacji?

Przykładów takich można by wyliczyć jeszcze wiele. Chciałbym się jednak zatrzymać na jednym tylko jeszcze, **polskim** przykładzie, gdzie mętlik filozoficzny w przyrodoznawstwie wykorzystuje się dla wyraźnych celów propagandowych. Milczenie przyrodoznawstwa w naszej publicystyce o sprawach ideologicznych postanowił przerwać „Tygodnik Warszawski", umieszczając w nr 17 artykuł K. Koźniewskiego pt. „Zadania dwudziestego wieku". Tematem artykułu jest omówienie książki niejakiego Neergardena, wydanej w 1942 r. w Zurychu. Artykuł ten można by lapidarnie określić jako stek bzdur. Nie lubię używać mocnych słów w polemice, nie można jednak inaczej nazwać pokazu ignorancji filozoficznej na trzech szpaltach druku. Jaka część tego komplementu należy się bezpośrednio autorowi recenzowanej książki, a jaka autorowi artykułu, to jest ich sprawa wewnętrzna.

Żeby omówić wszystkie zagadnienia, poruszone w tym artykule, trzeba by chyba napisać osobny artykuł. Streścimy więc tylko „myśl przewodnią". Stara fizyka stała na stanowisku ciągłości rozwoju (natura non facit saltus). To była zasada racjonalizmu, „droga od Kopernika prowadziła do Moskwy" (sic!). Nowa fizyka (teoria kwantów) przekreśliła zasadę ciągłości rozwoju, wysuwając zasadę skoków (natura facit saltus). Tym samym racjonalizm został zniszczony i zatryumfował idealizm. Wprawdzie słyszelimy w historii filozofii, że istniał materializm dialektyczny, który staczał boje o zasadę teorii skoków z różnego rodzaju idealistycznymi teoriami, że, historycznie rzecz biorąc, teoria kwantów jest wielkim tryumfem materializmu dialektycznego. Ale p. Koźniewski tego nie wie, lub nie chce wiedzieć. Woli mętną wodę.

Mniejsza o kierunek. Idzie o rzecz ważniejszą, o sprawę dobrych obyczajów naukowych Takie mętniactwo jest śmiertelnym niebezpieczeństwem dla nauki i musi być przede wszystkim zwalczane. Muszą mu przeciwstawić się sami przedstawiciele przyrodoznawstwa, biorąc zagadnienia teoretyczne na warsztat świadomej pracy naukowej w równej mierze, jak i badania pozytywne.

O ŚCIŚLEJSZY ZWIĄZEK PRZYRODOZNAWSTWA Z FILOZOFIĄ

Filozofia nie może obecnie istnieć bez przyrodoznawstwa i w oderwaniu od jego badań. Nie można bowiem, nie znając fizyki, mówić dziś o materii, o ruchu, o przestrzeni i czasie, o przyczynowości itp., podobnie jak nie można mówić o świadomości, nie znając fizjologii, o duszy, nie znając prawideł przebiegu procesów psychicznych itd. Filozofia, jeśli ma w ogóle znaczenie, weszła na tory naukowości i związała się nierozerwalnie z naukami pozytywnymi.

Jeśli nauki przyrodnicze są konieczną podstawą dla dociekań filozoficznych, to i na odwrót nauki przyrodnicze nie mogą się obyć bez podstawy filozoficznej. Przytoczone wywody miały wykazać, że tak czy inaczej przyrodoznawstwo popada w niewolę filozofii. Rzecz w tym, jaka to będzie filozofia. Od tego bowiem zależy nie tylko uogólnienie wyników przyrodoznawstwa, ale metodologiczna podstawa badań, a tym samym ich kierunek i wyniki.

Żaden przedstawiciel przyrodoznawstwa nie może mieć nic przeciwko postulatowi, jaki w związku z tym wysuwa marksizm, żądając, by filozofia ta była adekwatna do obecnego stanu przyrodoznawstwa, z metodą badań, która zapewnia rozwiązanie trudności trapiących nauki przyrodnicze. Dla każdego badacza jest rzeczą oczywistą, że filozofia taka musi uznać obiektywny byt przedmiotu badań. Jest również oczywiste, że filozofia ta musi stać na stanowisku konsekwentnego rozwoju, gdy zasada ewolucji weszła niejako w krew epoki. Coraz bardziej oczywiste staje się również, że filozofia ta musi uwzględnić obiektywny charakter sprzeczności, ujawniających się w rzeczywistości. Taką filozofią jest materializm dialektyczny i tylko on. I dlatego marksiści twierdzą, że myślenie kategoriami materializmu dialektycznego jest równoznaczne z myśleniem naukowym. Sądzą też, że jeśli przyrodoznawstwo zacznie świadomie stosować filozofię, dojdzie konsekwetnie do materializmu dialektycznego.

Nie jest rzeczą przypadku, że historia materializmu jest związana z historią przyrodoznawstwa. Nauki przyrodnicze muszą posługiwać się kategoriami materializmu, bo materializm jest odbiciem rzeczywistości w poznawaniu. Tego nie widzą często nawet ci, którzy mają pozytywny stosunek do marksizmu. Nie idzie o to, aby do każdego zagadnienia mechanicznie „przyczepiać" Marxa, ale o to, by z nagromadzonego materiału umieć wysnuwać konsekwentnie naukowe wnioski.

Marksizm jest równoznaczny z naukowym myśleniem. I dlatego właśnie na stronę marksizmu przechodzą naukowcy tej miary co Langevin, Prenant, Joliot-Curie, sławy światowe, laureaci nagrody Nobla, którzy po **latach twórczej** pracy piszą dumnie, że myśleć naukowo w dzisiejszych warunkach, to myśleć kategoriami materializmu dialektycznego. Stanowi on nieoceniony oręż dla badań nauk przyrodniczych. I dlatego możemy powtórzyć za Francuzami: sięgnijcie do bogactw teoretycznych materializmu dialektycznego, bo myśleć jego kategoriami to znaczy myśleć naukowo.

Adam Schaff

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

W numerze 40 »Odrodzenia« zawiadomiliśmy, że Spółdzielnia Wydawnicza »Czytelnik« pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości

100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w rękopisie na ręce jury do dnia 1 maja każdego roku. Skład jury będzie podawany do wiadomości corocznie 1 maja

TADEUSZ RÓŻEWICZ

OCALONY

Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź.

To są nazwy puste i jednoznaczne:
człowiek i zwierzę
miłość i nienawiść
wróg i przyjaciel
ciemność i światło.

Człowieka tak się zabija jak zwierzę
widziałem:
furgony porąbanych ludzi
którzy nie zostaną zbawieni.

Pojęcia są tylko wyrazami:
cnota i występek
prawda i kłamstwo
piękno i brzydota
męstwo i tchórzostwo.

Jednako waży cnota i występek
widziałem:
występki nagrodzone poniżoną cnotę
człowieka który był jeden
występny i cnotliwy.

Szukam nauczyciela i mistrza
niech przywróci mi wzrok słuch i mowę
niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia
niech oddzieli światło od ciemności.

Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź.

DO UMARŁEGO

Moje sprawy są sprawami żywych.
Widzę słyszę dotykam
ważę się na wadze ulicznej
uciekam przed niebieskim tramwajem
w lipcu: ocieram pot z lśniącego czoła
piję wodę z malinowym sokiem
jestem zmęczony
nudzę się piszę wiersze
rozmyślam o śmierci
kupuję obwarzanki i puszyste włochate
jak różowe myszki brzoskwinie
czytam Marxa
nie rozumiem Bergsona.
Z rudowłosą idę na zabawę
śmiejemy się
z atomowej bomby
ust czerwone kółko
złota długa słomka
moja dziewczyna w zielonej bluzce
wyssała z nieba księżyc
kelner obnosi białe piany piw
czarny kelner większy od jaskółki
ostrzy lotki fraka o
światła mrużą się w rzęsach wieczoru
białą dłonią nakryła mój niepokój
pamięć o Tobie.

Oto są moje sprawy. Żyję
I nic mi nie jest tak obce
jak ty umarły Przyjacielu.

DESZCZ WIOSENNY

W siatce deszczu.
Dorożkarze w melonikach
mają czkawkę
konie kiwają łbami
mają oczy wielkie
jak bizantyjscy święci
wilgotne jak łza.

Dziewczyny na rogach ulic
sprzedają
rumiane jak małe księżyce buteczki
słodkie jak usta cukierki
śnieguliczki w dłoniach
ciepłych i białych.

Tramwaj iskry lazurowe niecl.

Pijany strząsa pomarańczowe światła
z latarni smutnej jak cyprys.
W oknie czesze
liliowe włosy
córka artysty.
Kropla deszczu
oprawiona w światło
opalizuje.

KWIECIEŃ

Świt pełen ptasich pisków
domy wschodzą różowe
szmaragdowe dachy jak łąki
ociekają wodą.

Z tęczowych gołębi złoty
okrągły toczy się groch
gruchanie. Na szczycie wieży
rozwinął się kwiaton.

ARKADIUSZ PIEKARA

O nowym pojmowaniu zjawisk*)

Motto:

Poety wzrok w szaleńczej swej pogoni
Z nieba powraca na ziemię i znów ku [niebu sięga;
I gdy się wyobraźni wymykają
Kształty rzeczy nieznanych, pióro poety
Zwiewnym fantomom postać daje,
Nazwę i miejsce zamieszkania.
(Szekspir: „Sen nocy letniej", akt V, scena I; tł. A. P.).

Władza nasza nad Naturą leży w poznawaniu kołyszących nas zjawisk. Gdy jednak poznawanie, za dni naszych, czyni bezprzykładne postępy, pojmowanie, przeciwnie, wśród największych trudności, posuwa się naprzód nad wyraz powoli.
(Władysław Natanson: „Widnokrąg nauki").

1. O PROMIENIOTWÓRCZOŚCI RZECZY ZNANE

Sądzę, że o promieniotwórczości wiecie na pewno nie mniej niż przeciętny szanujący się laik. A więc na pewno wiecie:

1. Że uran jest pierwiastkiem promieniotwórczym, który wysyła jakieś tajemnicze promienie, zaczerniające kliszę fotograficzną i czyniące powietrze przewodnikiem elektryczności.

2. Że Maria Skłodowska-Curie, badając promieniotwórczość minerałów uranowych, wykryła, iż zawierają one w sobie nowe pierwiastki, nieporównanie silniej promieniotwórcze od uranu. Pierwszy z tych pierwiastków nazwała pani Curie, na cześć swej ojczyzny, **polonem**, a drugi — **radem.**

3. Że dopiero po odkryciu tych pierwiastków promieniotwórczość wystąpiła w całej swej okazałości, wzbudzając olbrzymią sensację, przede wszystkim wśród fizyków. Już samo bezustanne świecenie preparatów promieniotwórczych w ciemności i bezustanne wydzielanie przez nie ciepła i elektrycznych ładunków — było nie lada sensacją. Był to cios dla zasady, która zabraniała energii powstawać z niczego. Tymczasem tutaj, w odrobinie radu, wytwarzały się w ciągu lat olbrzymie ilości energii, Bóg wie, skąd.

4. Że promieniowanie radu składa się z trzech rodzajów promieni: α, β i γ. Najwięcej może zdumienia wywołały promienie α, które okazały się atomami helu, pozbawionymi dwóch elektronów, a więc jądrami helu. Atomy radu lub polonu wyrzucają więc z siebie cząstki α, czyli jądra helu, które po przyłączeniu skądkolwiek dwóch elektronów zamieniają się na atomy helu, gazu szlachetnego. Po takiej emisji atomy radu zamieniają się na... inny gaz szlachetny, radon, który jest również promieniotwórczy. Fakty te zadały cios głębokiemu przekonaniu chemików o niezmienności pierwiastków i o niepodzielności atomów. Tak oto runęły stare prawdy, by zrobić miejsce nowym. Równanie, wyrażające proces emisji cząstki α:

rad = radon + hel (cząstka α),

wychodzi poza ramy reakcji chemicznej, gdyż wyraża zamianę jednego pierwiastka w inne. Równania tego typu nazwano żartobliwie równaniami „alchemicznymi", jako że średniowieczni alchemicy marzyli o zamianie metali nieszlachetnych w złoto.

2. PRAWO ROZPADU PROMIENIOTWÓRCZEGO

Nie wszyscy o tym wiedzą, że masa ciała promieniotwórczego bezustannie się zmniejsza. Bowiem na skutek rozpadu promieniotwórczego, ilość atomów uranu, radu czy polonu ubywa z biegiem czasu.

Dziwny jest to jednak ubytek! Można by sobie pomyśleć, że skoro radu ciągle ubywa, to wreszcie, po jakimś czasie, nic nie zostanie. Otóż tak nie jest. Rad ciągle, bezustannie zanika (zamieniając się na radon i hel), ale całkowicie nie zniknie, praktycznie rzecz biorąc, **nigdy!**

Jakże się to dzieje? Doprawdy, przedziwnie. Bo oto co dały badania natężenia promieniowania w zależności od czasu:

a) Dla polonu: z pierwotnej ilości polonu po upływie 140 dni zostaje tylko połowa, po upływie następnych 140 dni połowa tej połowy, czyli 1/4; po upływie jeszcze 140 dni pozostaje połowa tej 1/4, czyli 1/8; po upływie dalszych 140 dni pozostaje 1/16 itd. itd. Wobec tak dziwnego prawa ilość polonu nie spadnie nigdy, jak powiedzieliśmy, do zera.

b) Dla radu: dokładnie takie samo prawo, tylko z tą różnicą, że okres, po upływie którego ilość radu zmniejsza się do połowy, wynosi 1590 lat!

c) Dla uranu: znów to samo prawo, ale okres połowicznego zaniku wynosi 4,5 miliarda lat!

Takie jest prawo rozpadu promieniotwórczego.

Dodajmy do tego, że na procesy promieniotwórcze nie mają najmniejszego wpływu żadne czynniki. Nie jesteśmy w stanie przyśpieszyć rozpadu promieniotwórczego przez ogrzewanie preparatu, choćby do białego żaru, ani go zwolnić przez oziębienie ciekłym powietrzem. Ani temperatura, ani ciśnienie, ani procesy chemiczne nie mogą choć trochę wpłynąć na rozpad promieniotwórczy.

*) Fragment z książki „Fizyka stwarza nową epokę".

3. ISTOTA ROZPADU PROMIENIOTWÓRCZEGO: EKSPLOZJA JĄDRA

Promieniotwórczość nie jest tedy własnością cząsteczki (molekuły), gdyż proces chemiczny miałby na nią wpływ, ani nie jest własnością związaną z powłoką elektronową atomu, gdyż zmieniałaby ją temperatura; proces promieniotwórczy odbywa się wewnątrz jąder atomowych. Z faktu, że rad wydziela z siebie radon i hel, Rutherford i Soddy zrozumieli w r. 1903, że jądro atomowe radu rozpada się na dwa inne jądra: na ciężkie jądro radonu i na lekkie jądro helu, które, wyrzucone z dużą energią, stanowi cząstkę α. Rozpad promieniotwórczy — to jakby wystrzał z jądra atomowego, albo eksplozja: lekki pocisk, w postaci cząstki α, wylatuje z olbrzymią szybkością, podczas gdy ciężka pozostałość jądra doznaje tylko słabego odskoku (fakt stwierdzony doświadczalnie). Co powoduje tę eksplozję — nie wiadomo. Dlaczego ten właśnie, a nie inny atom eksploduje — nie wiadomo. Wiadomy jest jedynie fakt, że zawsze, niezmiennie, w ciągu określonego czasu, zwanego okresem połowicznego zaniku, katastrofie wspomnianej ulega z nieubłaganą koniecznością połowa wszystkich atomów.

4. KŁOPOTLIWE PYTANIE Nr 1

Wyobraźmy sobie wielkie zbiorowisko — miliardy miliardów — atomów polonu. Jesteśmy świadkami ciągle odbywających się eksplozji jąder atomowych. Po 140 dniach połowa jąder eksploduje. Ale jeszcze po wielu latach pozostaną nienaruszone atomy polonu, pozornie trwałe, bezpieczne. Jednak pozorna jest to trwałość: eksplozja może nastąpić za sekundę, a może... za dziesięć lat.

Zauważmy: los jednego atomu polonu jest zupełnie nieokreślony. Ale los miliarda atomów jest najdokładniej określony, mianowicie po 140 dniach 1/2 miliarda atomów rozpadnie się; czyli w ciągu 140 dni co drugi atom eksploduje. A więc dla poszczególnego atomu możemy określić **tylko prawdopodobieństwo** eksplozji. Na przykład: prawdopodobieństwo eksplozji atomu polonu w ciągu 140 dni wynosi 1/2. Tyleż wynosi prawdopodobieństwo eksplozji atomu radu, ale w ciągu 1590 lat.

Wydaje się, że w ten sposób ogarnęliśmy porządek, jaki panuje w świecie atomów promieniotwórczych. Porządek ustalony, prawo nieubłagane, od którego nie ma odstępstw.

A jednak nasuwa się nam tu z pewnością dręczące pytanie: „dlaczego"?

Dlaczego prawo rozpadu jest takie, że jądro, egzystujące przez długi nawet czas i nie zdradzające niczym swej ukrytej nietrwałości, naraz w pewnej chwili eksploduje, niby jakaś bomba zegarowa?

Dlaczego jądra polonu „ponastawiane" są **na ogół** na krótkie czasy (chociaż i tu zdarzają się bardzo długie), a jądra radu „ponastawiane" są **na ogół** na bardzo długie czasy (chociaż i tu zdarzają się czasy bardzo krótkie)?

Zadając pytanie „dlaczego", musimy objaśnić, co ono oznacza. Otóż chcielibyśmy wytłumaczyć prawo rozpadu promieniotwórczego przy pomocy innych prostszych praw, znanych nam już wcześniej z nauki fizyki. Stwierdzamy, że na powyższe pytanie: „dlaczego jądro eksploduje" fizyka klasyczna (przedkwantowa) nie znalazła odpowiedzi. Pytanie to nazwijmy „pytaniem nr 1"; pojawi się bowiem wkrótce jeszcze bardziej kłopotliwe „pytanie nr 2", wobec którego fizyka klasyczna również pozostanie bezradna.

Na oba pytania udzieli odpowiedzi mechanika kwantowa. Lecz dziwna to będzie odpowiedź. Mechanika kwantowa zmieniła bowiem gruntownie nasz pogląd na budowę materii, nauczywszy nas w cząstkach materii dostrzegać fale; tym samym odmieniła nasz sposób pojmowania zjawisk.

5. JĄDRO OTACZA „WAŁ POTENCJAŁU"!

Czy przypominacie sobie, że lord Rutherford specjalnie interesował się rozpraszaniem cząstek α przez cienkie folie metalowe? Otóż zjawisko to stało się w jego ręku precyzyjną metodą badania jąder atomowych. Potrafił on stwierdzić, że cząstka α, pędząca ku jądru atomowemu folii, odpychana jest przez jądro z siłą coraz większą i większą, w miarę jak zbliża się ku zderzeniu. Odpychanie

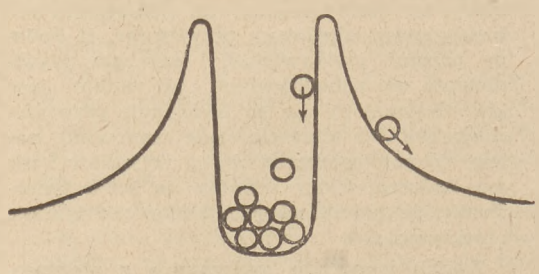

Jądro otacza wał potencjału

to zgodne jest z prawem fizyki klasycznej (tzw. prawem Coulomba), które rządzi odpychaniem się dwóch kul naelektryzowanych. I gdy pocisk α zbliży się do jądra na odległość 10^{-12} cm, a siła odpychania stanie się fantastycznie wielka — ze stosowalnością prawa fizyki klasycznej zaczyna się dziać niedobrze: siła odpychania maleje, zamiast rosnąć, a przy jeszcze bliższej odległości — zamienia się w siłę przyciągania!

Nie powinniśmy się temu odstępstwu od praw klasycznych dziwić, jeśli się liczymy z faktami. Przecież fakt emisji cząstek α poucza nas, że w jądrach tkwią cząstki α*), że są ich częścią składową. A zatem muszą się jakoś trzymać kupy, oczywiście siłami przyciągania, a nie odpychania.

Więc gdybyśmy chcieli cząstkę α „wbić" do jakiegoś jądra atomowego, musielibyśmy jej nadać dostatecznie wielką prędkość (energię), aby rozpędem swym mogła pokonać siły odpychania, broniące jej wejścia do jądra. A gdybyśmy chcieli, aby cząstka α opuściła jądro, w którym już tkwi, musiałaby skądś posiadać dostatecznie dużą energię na to, aby pokonać siły przyciągania, które bronią jej wyjścia z jądra. O tej właściwości jądra fizycy wyrażają się tak, że jądro jest otoczone „wałem potencjału".

To wszystko upoważnia nas do porównania jądra atomowego do średniowiecznego zamku, otoczonego obronnym wałem, o fantastycznej wysokości, jak to pięknie pokazują rysunki. Kształt wału jest nieco dziwny; takiego wału żaden król nie kazał chyba nigdy sypać. Ale takiego kształtu wymagają fakty. Fakty wymagają, by od strony wewnętrznej istniała potężna siła przyciągania, której by uległa kula, spadająca wzdłuż niemal pionowej ściany; a od strony zewnętrznej — by istniała wielka siła odpychania, której by uległa kula, staczająca się po stromej pochyłości wału.

Wysokość wału obronnego mierzy się w metrach. Ale „wysokość" wału potencjału, otaczające jądro, nie mierzy się w jednostkach długości, bo nie jest on wałem materialnym. Wysokość wału potencjału mierzy się energią, jaką trzebaby nadać pociskowi (np. cząstce α), aby go, bombardując od zewnątrz, sforsował. O jądrze uranu wiemy z doświadczeń, że otacza je wał potencjału, o wysokości ponad 10 MeV, prawdopodobnie około 20 MeV, czyli 20 „milionów elektronowoltów" (elektronowolt, symbol eV, jest to energia, jakiej nabędzie elektron, rozpędzony różnicą potencjałów 1 wolta; milion elektronowoltów ma symbol MeV).

*) Jądro składa się tylko z protonów i neutronów; dwa protony i dwa neutrony tworzą cząstkę α.

6. KŁOPOTLIWE PYTANIE NR 2

A więc jądro uranu otacza wał potencjału, o „wysokości" około 20 MeV. Oznacza to, że jeślibyśmy chcieli zbombardować to jądro jakimś pociskiem (np. cząstką α, lub inną), to musielibyśmy użyć pocisku, mającego energię większą od 20 MeV. Tylko wtedy pocisk wpadnie do środka jądra i utkwi w nim. Jeśli natomiast pocisk miałby energię mniejszą od 20 MeV, np. 10 MeV, to nie sforsuje wału, lecz zostanie zatrzymany i odepchnięty wstecz. Na skutek tego odpychania, pocisk uzyska prędkość, a zatem energię, dokładnie taką samą, z jaką nacierał na wał.

Mówiąc obrazowo: jeśli wzdłuż wału materialnego pchniemy kulę, która nie ma dość energii na to, by przebyć wierzchołek wału, to kula ta zatrzyma się na pochyłości wału i stoczy się po niej wstecz. Staczając się tak, uzyska taką samą szybkość, z jaką była na początku pchnięta. Oczywiście zakładamy, że nie ma żadnego tarcia.

Faktem jest, że uran jest promieniotwórczy i że emituje cząstki α. Jeśli cząstka α wydostaje się z jądra uranu, to musi mieć dostateczną energię na to, by przebyć wał potencjału. A gdy przejdzie przez jego szczyt, zacznie się odpychanie, dzięki któremu zyska 20 MeV. Oto jest przewidywanie na podstawie praw fizyki klasycznej (tzn. praw, traktujących cząstkę α, jako maleńki pocisk), przewidywanie, któremu nic zarzucić nie można.

A co mówią fakty? Fakty mówią: cząstki α, emitowane przez uran, mają energię... 4 MeV. Tylko 4 MeV! Jakże to możliwe, że wyszły z jądra, że przebyły szczyt wału? Przecież na jego zewnętrznej „pochyłości" zyskałyby 20 MeV!

I oto stawiamy pytanie nr 2: **dlaczego cząstka α, emitowana z jądra, ma energię mniejszą, aniżeli wał potencjału, otaczający jądro?**

Proszę się zastanowić nad tym zdumiewającym faktem! Cząstka, która nie ma dość energii, aby według „ludzkich" (makroskopowych) praw wydostać się z jądra — wydostaje się z niego! Widać, że nie rządzą nią prawa naszego zwykłego świata, lecz jakieś inne fantastyczne prawa, którym posłuszny jest zaczarowany świat atomów; świat, w którym zaciera się różnica między materią a energią; świat, w którym materia faluje, w którym pewność jest tylko prawdopodobna, a prawdopodobieństwo — jedynym co pewne; świat, w którym prawda jest fantastyczną baśnią, a baśń fantastyczna — prawdą.

— — — — — — — — —

7. BAŚŃ O STARYM KRÓLU I O KRÓLEWNIE ALFIE

Było to bardzo, bardzo dawno temu. Świat był wówczas piękniejszy i bardziej interesujący. Nie było na nim tyle zła i **nieubłaganej konieczności.** I nie wiem już dlaczego, czy dlatego że ludzie byli lepsi, czy może dlatego że **stała Plancka była większa** — dość, że działy się cuda.

Daleko stąd bardzo, za górami i rzekami, za dziewięćdziesięciu i jedną granicami, leżało państwo sędziwego króla Urana Pierwszego. Stary to był król i najstarsi ludzie nie pamiętają, od jak dawna rządził. A miał ten król piękną córkę, młodziutką królewnę Alfę. I o jej przyszłość stary król drżał. Drżał też i o swoją przyszłość, bo czuł zbliżającą się śmierć.

Razu pewnego, król, jak przystało szanu-

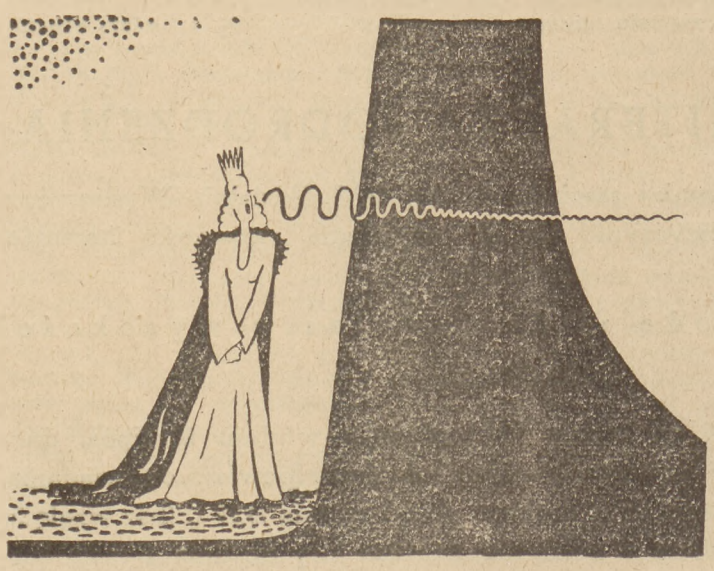

Fale de Broglie'a przenikały przez wał...

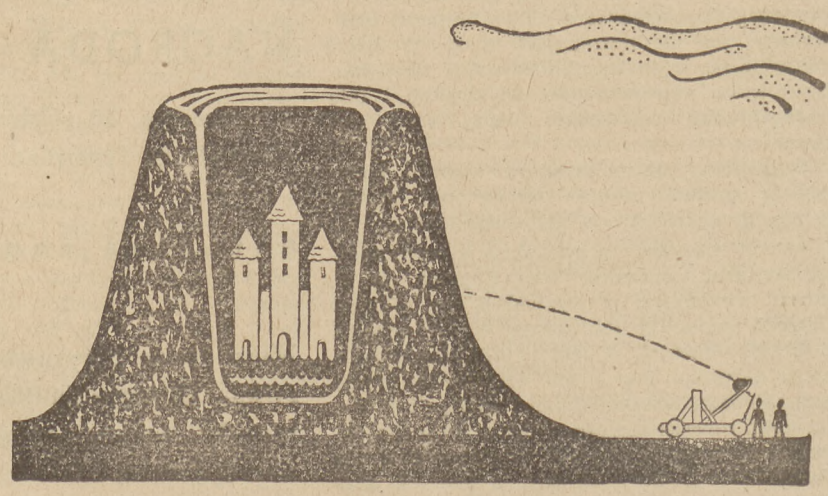

„Nie zrażajcie się tym, że Wasze katapulty za nisko niosą"

jącemu się królowi, wezwał do siebie nadwornego astrologa i spytał:

„Powiedz mi, kiedy umrę i co się stanie z królewną Alfą?"

Astrolog, jako że był szanującym się astrologiem, rozwinął pergamin z horoskopem królewskim i rzekł:

„Królu, los twój jest ściśle związany z losem królewny Alfy. Dziwnie się potoczą koleje twego życia. Nie bój się śmierci! Będziesz żył jeszcze i miliard lat, ale pod pewnym warunkiem: że córka Twoja, Królu, nie przekroczy granic Twego zamku. W dniu, w którym by się to stało, umrzesz, a syn Twój obejmie po Tobie panowanie, jako Uran X Pierwszy. Nieszczęśliwe to będzie panowanie, gdyż będzie trwało niewiele więcej niż 24 dni, a może nawet krócej. Syn Twój umrze, a państwo Twoje podzieli między Twoich dwóch wnuków, Urana X Drugiego i Urana Z, których życie także..."

„Milcz — przerwał mu król — bo cię każę ściąć! Rozkazuję natychmiast wzmocnić wał obronny, podwyższyć go do 20 MeV (taka tam była miara) i zamurować wszystkie wyjścia, by od tej chwili królewna Alfa nie mogła przekroczyć granic dziedzińca zamkowego".

Biedna królewna Alfa! Nie da się opisać, ile łez wylała! Snuła się po komnatach i po dziedzińcu, jasną główkę opierała o wał okrutny i płakała. Aż pewnej letniej nocy, kiedy królewna, spłakana, zasnęła pod wałem, ukazała jej się we śnie dobra wróżka i tak do niej przemówiła:

„Nie martw się, królewno Alfo! Przyszłam do ciebie, by Ci ulżyć w Twej niedoli. Chcę Ci dać radę: śpiewaj królewno, śpiewaj swoim cudnym głosikiem, a doznasz ulgi i odmiany. Czy wiesz, że fale dźwiękowe przechodzą przez mury i wał, hen na wolność? Czy wiesz, że te fale są cząstką Twego „ja"? Otóż mocą, jaką posiadam, zamieniam je na **fale de Broglie'a.** I odtąd posiadać będą one moc cudowną: wszędzie gdzie drgać będą, a więc i poza wałem, stwarzać będą prawdopodobieństwo, że się tam znajdziesz. A więc ufaj mi i śpiewaj! Niech fale de Broglie'a przesączają się przez wał, niech idą na wolność"!

I odtąd królewna śpiewała swymi koralowymi usteczkami, śpiewała jak słowik, śpiewała jak dzwonek srebrny. Głos jej rozbrzmiewał między ścianami wału. Tu się tworzyły, według zaklęcia wróżki, fale stojące de Broglie'a o potężnej amplitudzie, tu, niestety, było największe prawdopodobieństwo znalezienia królewny. Ale słabiutkie fale wychodziły i poza wał. I gdy tak królewna śpiewała, zdawało jej się, że dusza jej ulata na wolność, że się rozpływa po polach i łanach, że się unosi na pędzących falach.

Aż razu pewnego królewna Alfa, po takiej wędrówce na falach, ocknęła się — na wolności.

— — — — — — — —

A uczeni tego kraju; magowie i astrologowie, badali cudowne zjawisko i w żaden sposób nie mogli wyrozumować, jak to się stało. Królewna była bowiem zbyt wątła, żeby się przedostać na szczyt wału, a w wale żadnego tunelu nie było. Aż jeden z nich, mędrzec ze Wschodu, nazwiskiem Gamow, odezwał się w te słowa:

„Cudowne zjawisko uwolnienia królewny Alfy jest faktem. A stało się ono tak, jak gdyby królewna zamieniła się w fale przenikające wał, a tam, poza wałem, przybrała znowu swoją dawną postać. Wypisałem tu bardzo mądre równanie i zrobiłem jeszcze mądrzejsze rachunki; i wypadło z nich wszystko, co się stało, a także wszystko, co się stać może w przyszłości. Zaś fakt, że przepowiednie moje sprawdzały się zawsze i sprawdzają, upewnia mnie o słuszności moich założeń, co do falistej natury całego świata. Cudowne zjawisko z królewną musimy tedy uznać za zjawisko naturalne. A że stało się tak, **jak gdyby** królewna przeszła przez tunel w wale, nazwijmy zjawisko to „efektem tunelowym". Kronikarzu, zapisz to w księgach!"

I kronikarz zapisał. A gdy zapisał, zamyślił się głęboko o owych falach. Ale nic wymyślić nie mógł, mimo że drapał się gęsim piórem po głowie. Więc tylko dopisał na końcu swojej kroniki (bo lubił filozofować jak szekspirowski Tezeusz): „I znów zwiewnym fantomom prawo obywatelstwa i nazwa zostały nadane"...

— — — — — — — —

8. TEORIA ROZPADU PROMIENIOTWÓRCZEGO W MECHANICE KWANTOWEJ

Nie oczekujecie chyba, że wyłożę tutaj teorię rosyjskiego fizyka, Gamowa. teorię rozpadu promieniotwórczego *)? Przecież zrobiłem to już przed chwilą! Może trochę zanadto ograniczyłem się do ogólnej idei tej teorii, może forma była trochę(!) za mało naukowa, a może źle zrobiłem, że nie poczęstowałem was równaniem Schrödingera? Mimo wszystko sądzę, że dałem wam przedsmak nowego pojmowania zjawisk w mechanice kwantowej.

Ale jakże dziwne wydaje się nam to nowe pojmowanie! Oto tajemnica rozpadu promieniotwórczego tkwi w tym, że przez wał potencjału przenikają fale do Broglie'a, czyli fale prawdopodobieństwa. Dzięki temu, niekiedy, odpowiednio do natężenia fal prawdopodobieństwa, cząstka α znajdzie się na zewnątrz jądra. Fakt, że cząstka α ma zbyt małą energię, aby według praw fizyki klasycznej przekroczyć wał potencjału, nie jest przeszkodą do jej zwolnienia; musi tylko dłużej poczekać, gdyż fale prawdopodobieństwa, które przenikają przez wał, mają tym mniejsze natężenie, im energia cząstki α jest mniejsza od energii szczytowej wału.

W ten sposób mechanika kwantowa odpowiedziała od razu na dwa „kłopotliwe pytania", a zatem wytłumaczyła emisję cząstki α. Lecz wytłumaczenie to nie ma w sobie nic z mechanizmu deterministycznego fizyki klasycznej. Fizyk „klasyczny", czyli przedkwantowy, chciałby widzieć mechanizm emisji cząstki α w postaci jakiegoś modelu, „rozsądnie" działającego. Jeśli modelem tym miałaby być bomba zegarowa, to pragnąłby wiedzieć, jaka jest konstrukcja zegara i co go nastawia na określony czas? W zamian za to dowiaduje się, że fale materii, przenikając przez wał potencjału, wytwarzają na zewnątrz jądra ściśle określone prawdopodobieństwo pojawienia się cząstki α.

Lecz człowiek zapytuje o przyczynę zjawisk. Jest to naturalne pytanie; rodzi się z przyzwyczajenia, gdyż wszędzie, na każdym kroku, w świecie makroskopowym, obserwuje procesy przebiegające deterministycznie. Tymczasem w świecie wewnątrzatomowym dostrzegł indeterminizm i musi się wyrzec stosowania związków przyczynowych.

Wyrzec? Na zawsze?

Na to pytanie — jeśli chcemy stać na stanowisku ściśle naukowym i nie wkraczać na teren metafizyki — nie będziemy usiłowali odpowiadać. Stwierdzimy tylko, że owo „wyrzeczenie się" będzie trwało tak długo, dopóki związki przyczynowe będziemy usiłowali stosować do „stanu" układu atomowego, stanu, obserwowanego metodami naukowymi, tzn. metodami „mędrca szkiełka i oka". Natomiast zasady przyczynowości wyrzekać się nie potrzebujemy w stosunku do funkcji Ψ, występującej w równaniu Schrödingera, funkcji, wyrażającej amplitudę fal de Broglie'a; ale funkcja ta — wyraża tylko prawdopodobieństwo. Dlatego pojedyncza cząstka jest kapryśna i nigdy nie wiadomo, co zrobi. Ale co zrobi miliard cząstek — wiemy dokładnie. Prawo rozpadu promieniotwórczego nie zna odstępstw.

9. ATAK NA JĄDRO ATOMOWE

Przed powstaniem mechaniki kwantowej fizycy wiedzieli, że cząstka α, żeby zaatakować skutecznie jądro od zewnątrz, musi mieć energię wielu milionów elektronowoltów, by pokonać olbrzymie siły odpychające, broniące jej dostępu do jądra; innymi słowy: by sforsować wał potencjału. Nie odstraszyło to Sir Ernesta Rutherforda, który już w czasie pierwszej wojny światowej przypuścił szturm do niezdobytej jeszcze twierdzy. Szturm polegał na tym, że cząstkami α, wysyłanymi przez ciało promieniotwórcze, ostrzeliwał atomy azotu.

Znana jest z owego czasu następująca historia. Zapytano Rutherforda, czyby nie przerwał swoich badań i nie zajął się opracowaniem pewnych ulepszeń w łodziach podwodnych. Na to Rutherford odpowiedział: „Panowie, jestem na drodze do rozbicia atomu. Jeśli mi się to uda, będzie to ważniejsze niż cała wojna".

Udało mu się to istotnie: w r. 1919 zostało rozbite jądro azotu. Celny pocisk α, trafiwszy w jądro azotu, odłupuje od niego drobną cegiełkę — proton — przez co zamienia go na jądro tlenu. W jednej chwili runęły. i niepodzielność atomów, i niezmienność pierwiastków chemicznych.

W późniejszych latach ponętna była dla fizyków myśl, by do rozbijania jąder atomowych użyć nie naturalnych cząstek α, jakie dają rad lub polon, lecz „sztucznych" pocisków, np. protonów, rozpędzonych w silnym polu elektrycznym, w specjalnych aparatach, za pomocą bardzo wysokich napięć. Lecz żeby proton nabył energię np. 4 milionów elektronowoltów (4 MeV), musiałby być rozpędzony napięciem 4 milionów woltów (4 MV). Takich napięć (ani nawet 1MV!) nie potrafili wówczas wytworzyć ani fizycy, ani elektrotechnicy. Sprawa rozbijania jąder atomowych pociskami sztucznymi wyglądała więc dość beznadziejnie.

Dopiero teoria Gamowa rozbudziła pewne nadzieje. Albowiem pocisk, o energii nawet znacznie mniejszej od energii szczytowej wału potencjalnego, może przeniknąć przez wał, chociaż z małym prawdopodobieństwem. Ostrzeliwujcie więc jądro gęsto i cierpliwie, i nie martwcie się, że wasze katapulty za nisko niosą, a rozbijecie jądro „efektem tunelowym" — zachęcała teoria Gamowa.

Zachęta nie pozostała bez skutku. W r. 1932 dwaj uczniowie Rutherforda, Cockcroft i Walton, stosując do przyśpieszenia protonów napięcia „zaledwie" 100—700 tysięcy woltów, rozbili nimi jądra kilku pierwiastków. Sukces był podwójny, bo i rozbicie jąder atomowych, i potwierdzenie teorii, a z nią założeń mechaniki kwantowej.

10. POWRÓT NA ZIEMIĘ

Cockcroft i Walton zrealizowali zatem „efekt tunelowy". Czy nie nasuwa się tu czytelnikowi pytanie, dlaczego efekt ten obserwowany jest tylko w świecie wewnątrzatomowym, a nigdy nie dostrzegamy go w świecie nas otaczającym?

Otóż przyczyna leży w niezmiernej małości stałej Plancka h. Prawdopodobieństwo przeniknięcia pocisku przez wał zależy od stosunku h/m (m — masa pocisku). Dla zwykłych makroskopowych cząstek stosunek ten jest tak fantastycznie mały, że prawdopodobieństwo „efektu tunelowego" praktycznie równe jest zeru. W ciągu tysięcy lat istnienia człowieka cywilizowanego zjawiska takiego nie obserwowano.

Aby powiększyć prawdopodobieństwo efektu tunelowego, trzeba by powiększyć znacznie stosunek h/m, a to może stać się tylko wtedy, gdy:

1) Albo „dobra wróżka" powiększy miliardy miliardów razy stałą Plancka, na co jednak nie radzę liczyć, albo

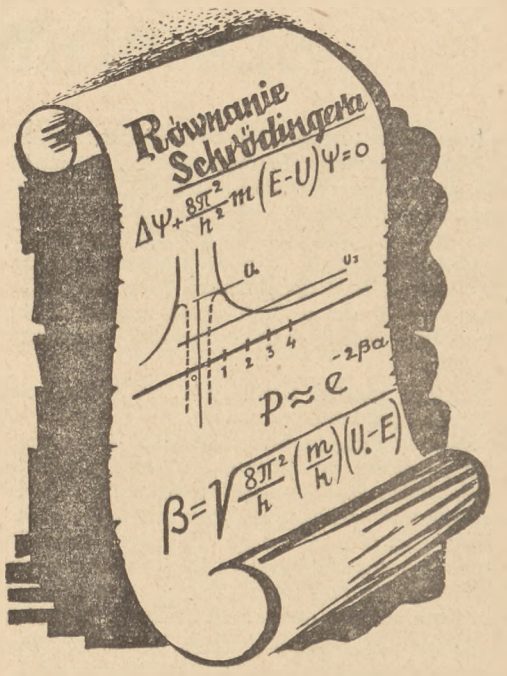

„Wypisałem tu bardzo mądre równanie i zrobiłem jeszcze mądrzejsze rachunki"..

2) jeśli zmniejszymy masę m cząstki miliardy miliardów razy, tzn. jeśli skierujemy nasze obserwacje do świata atomowego. Tylko w świecie atomów dostrzegamy „efekt tunelowy", gdyż tylko tam istnieje skończone prawdopodobieństwo penetracji wału potencjalnego przez cząstkę. Zresztą wiąże się to z faktem, iż tylko w świecie atomowym istnieją stosunkowo duże niepewności co do położenia i pędu cząstki, związane relacją Heisenberga. Przechodząc od świata atomów do świata coraz większych obiektów, zmniejszamy prawdopodobieństwo penetracji, aż wreszcie staje się ono zerem. Znika wtedy pełen cudowności „efekt tunelowy", a na miejsce relacji niepewności pojawia się zasada przyczynowości, ze swymi nieubłaganymi rządami.

Królewna z baśni murów nie przeniknie, a rycerz zamku nie zdobędzie.

Z wycieczki do czarownego świata atomu, w którym dostrzegliśmy granice naszego poznania, wracamy na ziemię... Lecz wracamy skromniejsi i bogatsi.

Arkadiusz Piekara

(Rysunki wykonała D. Gostyńska)

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC
1946

NAKŁADEM
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
„CZYTELNIK"

ukazały się następujące nowości:

		zł
BRZECHWA J.:	**Kaczka-dziwaczka.** Il. F. Themerson	150
BRZECHWA J.:	**Tańcowała igła z nitką.** Il. F. Themerson	120
CHROBOCZEK E.:	**Ogród warzywny przy domu.** (B-teka Zw. Samopomocy Chłopskiej Nr 1)	5
GOJAWICZYŃSKA P.:	**Krata.** Powieść. 2. wyd.	85
HOŁUJ T.:	**Próba ognia.** Powieść	140
KALENDARZ SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ		76
KIRCHMAYER J.:	**Geneza powstania warszawskiego.** (B-teka społeczno-polityczna)	20
KORNACKI J.:	**Oczy i ręce.** (B-teczka Młodego Czytelnika Nr 6)	50
KOTT J.:	**Mitologia i realizm.** Szkice literackie. (Tacyt, Stendhal, Gide, nadrealiści, Conrad, Malraux)	190
MOŚCICKI H.:	**Tadeusza Kościuszki wskazania obywatelskie.** (Wybór myśli)	15
NAŁKOWSKA Z.:	**Granica.** Powieść. Wyd. 5	140
PRUSZYŃSKI K.:	**Margrabia Wielopolski**	—
RYMKIEWICZ W. TUHAN B.:	**Człowiek o dwóch twarzach.** Powieść historyczna dla młodzieży	80
SIENKIEWICZ H.:	**W pustyni i w puszczy**	120
SZMAGLEWSKA S.:	**Dymy nad Birkenau.** 2. wyd.	140
TOŁWIŃSKI S.:	**Zagadnienie samorządu w świetle doświadczeń demokracji ludowej**	130
WASILEWSKA W.:	**Pokój na poddaszu.** Wyd. 2. (B-teczka Młodego Czytelnika Nr 5)	45
WAWRZKIEWICZ L.:	**Uprawa morwy i hodowla jedwabników**	40
WIŚNIEWSKA M.:	**Marmotek z gór.** Il. W. Stańczykowski	60
ŻEROMSKI ST.:	**Przedwiośnie**	200

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

W poprzednim (71) numerze „Odrodzenia" z dnia 7 kwietnia: **Aleksander Puszkin** (przełożył **Julian Tuwim**): Eugeniusz Oniegin. Rozdział pierwszy. — **Tadeusz Breza:** Nasz Paryż. — **Leonard Podhorski-Okołów:** Trzy Joanny. — **Artur Sandauer:** Klęska geniuszu. — Malarstwo polskie (**Piotr Michałowski:** Amazonka). — Tom wierszy J. A. Frasika. — W pracowniach pisarzy i uczonych (**Władysław Bodnicki, Jan Brzechwa, Tibor Csorba, Maria Czerkawska, Wiktoria Hessel-Zaleska, Wanda Kragen, Tadeusz Kwiatkowski, Juliusz Kydryński, Zbigniew Mitzner, Feliks Płażek, Artur Sandauer, Bernard Szarlitt, Lilian Seymour-Tułasiewicz, Zofia Starowieyska-Morstinowa, Antoni Waśkowski, Jerzy Zagórski**). — Korespondencja (**Henryk Batowski, Ludwik Fen, Eugenia Kocwa, ks. Leon Trojnar, Samuel Fiszman, Józef Sieradzki, Apoloniusz Zawilski**). — **Wacław Kubacki:** W trosce o człowieka. — **Wojciech Natanson:** Spróbujmy określić pojęcie. — **Józef Sieradzki:** Powieści o średniowieczu. — **Sigma:** Z teki dr Prota Sowizdrzała. Jak pisano o Mickiewiczu. — **Marian Promiński:** W teatrach krakowskich. — **Paweł Ettinger:** „Kukryniksy". — **zb:** Przegląd prasy. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — 5 ilustracji. — 12 stron.

*) Niezależnie od Gamowa teorię tę opracowali dwaj fizycy amerykańscy, Gurney i Condon.

Śląskie odgłosy 1846 roku

Rewolucja lutowa 1846 roku planowana była jako ruch trójzaborowy. Mniej już wiadomo, że w zaborze pruskim przygotowania spiskowców obejmowały nie tylko Wielkopolskę, lecz również Śląsk i Pomorze. Wspomina się o tym lakonicznie w podręcznikach, ale nawet szczegółowe opracowania niewiele zawierają wiadomości o akcji emisariuszów w obu tych dzielnicach i odgłosach samej rewolucji na Śląsku.

Sprawa zasięgu konspiracji na Śląsk, poza potrzebą pogłębienia badań nad rokiem 1846 wzbudza zainteresowanie ze stanowiska dziejów polskości na Śląsku. Jest rzeczą pewną, że dokładne studia na podstawie archiwalnych materiałów wykażą, iż Śląsk nie był podówczas, pomimo bacznego nadzoru pruskich władz administracyjnych i sieci policyjnej, ani hermetycznie odcięty od reszty ziem polskich ani pomijany w działalności rewolucjonistów.

Zapowiedź wyników, które oczekują badaczy w tej dziedzinie — jeżeli zbiory archiwalne nie uległy zniszczeniu w czasie ostatniej wojny — daje lektura aktów zawartych w fascykule pochodzącym ze zbiorów w Pszczynie. Na jego okładce figuruje gotycki nadruk: „Acta Specialia des königlichen Landrätlichen Amtes zu Pless", królewskiego landrata w Pszczynie, „o postępowaniu przeciw Polakom podróżującym do Królestwa Polskiego i z Królestwa Polskiego podczas trwających w Polsce rewolucji, oraz przeciw innym osobom niebezpiecznym dla porządku i spokoju", z lat 1835—1847.

Dnia 31 lipca 1832 roku pisał „chef — prezydent" rejencji w Opolu do landrata von Hippla w Pszczynie:

„Jakkolwiek już z dawna przywrócono spokój w sąsiednim Królestwie Polskim, będzie rzeczą potrzebną zwracać nadal czujne oko na ten kraj i otrzymywać wiadomości o nastrojach narodu i wydarzeniach w nim zachodzących".

Pruskie oczy zwrócone też były na Polskę bez przerwy. Służył do tego aparat politycznej administracji, policja, żandarmi i wywiad nie tylko w granicach zaboru pruskiego, ale i na wychodztwie. I nie wyłącznie w latach gorących, gdy wzbierał ruch i zanosiło się na powstanie, ale i w latach spokoju.

W naszym fascykule ożywiają się sprawy w miarę jak zbliżamy się do rewolucji lutowej. Już w grudniu 1845 roku kanceliści regencyj i landratów piszą akta, w których snuje się nić sprzysiężenia planowanego przez rewolucjonistów. Zaczyna się ożywienie w sekretnej korespondencji pruskich władz w Poznaniu, Wrocawiu, Opolu; landraci i magistraty otrzymują cyrkularze, idą listy gończe i załączone do nich signalements, rysopisy niebezpiecznych osób, polecenia do królewskich żandarmów, cito, citissime, bardzo pilne, wykazy osób do inwigilacji i nakazy aresztowań.

5 grudnia 1845 r. prezydent regencji w Opolu Kürzner poleca landratowi pszczyńskiemu dostawić do aresztu śledczego Włodzimierza Krzyżanowskiego z Rożnowa, powiatu obornickiego, z powodu udziału „an einer hochverräterischen Verbindung". Krzyżanowski otrzymał na wiosnę 1845 roku w Poznaniu paszport na wyjazd w sprawach rodzinnych do Warszawy. Co robił w niej 21-letni czeladnik ciesielski, trudno wiedzieć. Tegoż grudnia Kürzner zwraca uwagę na dwóch zbiegów polskich Franciszka Smowskiego (może Stawski) i F. Madalińskiego, którzy pod fałszywymi nazwiskami udali się z Poznania do Wrocławia.

To są pierwsze sygnały, po których urywa się materiał. Już 15 lutego 1846 roku toczyło się w Poznaniu śledztwo, w którym więziony Franciszek Szatkowski złożył wcale dziwne zeznania.

„Z początkiem lutego br. podróżowałem równocześnie z p. Secourgeon z Krakowa do Gliwic pocztą. Kilka mil przed Gliwicami wysiedliśmy z wozu pocztowego na rynku i w ciągu trzech dni zwiedziliśmy kilka wsi w sąsiedztwie owej z nazwy mi nieznanej stacji pocztowej. We wsiach tych nie mieliśmy znajomych a zajmowaliśmy się poznawaniem okolicy dla celów geograficznych. Czwartego dnia pojechaliśmy do Gliwic... gdzie bawiliśmy dwa dni, aby zdobyć przegląd topograficzny okolicy wokół Gliwic i w tym celu robiliśmy małe wycieczki pieszo lub wynajętym wozem. Potem koleją udaliśmy się z Gliwic do Wrocławia, gdzie zatrzymaliśmy się w hotelu de Silésie".

Trzeba przyznać, że ta wycieczka krajoznawcza po Śląsku mogła dać urzędnikom pruskim nieco do myślenia. Zwłaszcza, że zagadkowy Secourgeon to nikt inny jak Ludwik Mierosławski, który używał również innych jeszcze pseudonimów. Bawił on w lutym w Krakowie, gdzie toczył konferencje z Tyssowskim (Marian Tyrowicz, „Jan Tyssowski, dyktator krakowski w r. 1846"). Zeznając później, że Mierosławski przybył za paszportem na nazwisko Szatkowskiego, Tyssowski widocznie mylił się. Można by wprawdzie przyjąć, że zatrzymany Szatkowski-Mierosławski podawał prowadzącym śledztwo Prusakom fikcyjne informacje i wymieniał jako swego towarzysza podróży Secourgeona-Mierosławskiego, tj. swoje drugie wcielenie, ale kim byłby wtedy więziony i przesłuchiwany Franciszek Szatkowski? Tak czy owak — Ludwik Mierosławski w lutym 1846 roku krążył w rejonie Gliwic i bawił we Wrocławiu i wątpić nie trzeba, że miał tam dobrych znajomych.

Było to już w dniach katastrofy. 26 lutego 1846 roku nadprezydent prowincji śląskiej von Wedell podaje spis 19 osób, „które brały udział w ujawnionych obecnie działaniach o charakterze zdrady stanu w Wielkim Księstwie Poznańskim", z poleceniem dokonania aresztów. Są to: Pius Arnold, płk. Biesiekierski, Buchowski, Bronisław Dąbrowski, Iłowiecki, Władysław Kościelski, Kosiński z Targowej Górki, Kurnatowski, hr. Łącki junior z Posadowa, Magdziński z Szamotuł, hr. Seweryn Mielżyński, Józef Mikorski, Henryk Poniński, emisariusz Radoński z Głębokiego, Tadeusz Radoński z Kościelnej Górki, Nepomucen Sadowski i drugi Sadowski ze Słupi, Edward i Edmund Taczanowscy.

Z Wrocławia wychodzi też (24. II) pismo w sprawie Napoleona Boreyszy. Ów emigrant i aktywny działacz zwrócił na siebie uwagę władz częstymi podróżami po obszarach Królestwa Polskiego, a w kwestii celów tych wojaży „nie umiał się wystarczająco wytłumaczyć", za czym — jak pisze von Wedell — udzielono mu wskazówki, by ich nie ponawiał. Lecz Boreysza zdołał znów przekroczyć granicę ziem królewskich z paszportem francuskiego poselstwa w Hadze, przybył pośpieszną pocztą do Emmerich i otrzymał wizę na przejazd do Weimaru. Polecenie opiewa, że gdyby Boreysza, ujęty przez władze, nie zdołał rozprószyć podejrzeń, „że jego podróż pozostaje w związku z planami spisku w W. Ks. Poznańskim", winien zostać zatrzymany. Protoplaści gestapo posługiwali się językiem wyszukanym i zachowywali względy dla hrabiowskiego stanu Napoleona Boreyszy, nakazując umieścić go „in sicherem, seinem Stande angemessenem Verwahrsam", odpowiednio do stanowej pozycji.

Pościg za „skompromitowanymi" w rewolucji ziemianami trwa i rozszerza się na dalsze jeszcze osoby: Wolniewicza, technika i garbarza Pozorskiego, Teodora Radońskiego, braci Maksymiliana i Leona Rymarkiewiczów, uczniów gimnazjalnych i — „niejakiego Mierosławskiego, polskiego emigranta z Paryża, majora, znanego pod nazwiskiem Pana Ludwika" (v. Wedell do rejencji w Opolu 2. III. 1846). Wprawdzie Ludwik Mierosławski był już wówczas pod kluczem, ale Prusacy nie mieli pewności, czy nie wchodzi tu w rachubę jeszcze inny jakiś działacz. Równocześnie z Wrocławia wychodzi zarządzenie o zamknięciu — dla wszystkich mieszkańców prowincji poznańskiej, którzy nie wykażą się paszportem wydanym po 28 lutego przez rejencję w Poznaniu lub Bydgoszczy — granicy dla podróży do Krakowa.

Nawet z odległego Pomorza dochodzi echo. Abteilung des Innern (terminologia z okresu generalnej guberni ma dawną tradycję!) regencji opolskiej „nawiązując do zajść, które miały miejsce w pobliżu Pruskiego Stargardu, a które już są znane z prasy", informuje, że na podstawie zeznań zebranych w Berlinie, sprawcą wspomnianych zajść okazał się ponad wszelką wątpliwość królewiecki student „Ceynow, albo Ceynowa". Rzecz oczywista, że należy go pojmać i, widocznie dla wagi sprawy, natychmiast podać o tym wiadomość. Niestety, już z końcem kwietnia pisano z Opola do Pszczyny, że Ceynowa został aresztowany w powiecie kartuskim, gdzie się ukrywał.

Klasycznym dowodem, że dla policji nie było granicy między zaborami, i dokumentem współpracy carskiej administracji politycznej z pruską (a także austriacką), jest drukowane „circulare" z kwietnia 1846 roku do wszystkich królewskich landratów i magistratów departamentu. Nosi ono znamiona aż cyniczne. Królewsko-pruski rząd otrzymał od cesarsko-rosyjskiego radcy kolegialnego Massowa doniesienie o „większej liczbie emisariuszy, którzy wyjechali z Francji do Polski", wraz z ich rysopisami. Mamy i samo pismo Massowa. „Książę — namiestnik Królestwa Polskiego dostał od cesarsko-rosyjskiego poselstwa w Paryżu poniższe doniesienie w sprawie najnowszej działalności wywrotowej (Umtriebe) grupy polskich emisariuszy". Skądinąd wiadomo, że poselstwo rosyjskie zdobyło swe informacje od francuskiej policji. Podziwu godna była międzynarodowa współpraca policyjnych gabinetów przeciw rewolucjonistom i polskim patriotom.

Na liście Massowa figurowali: Ludwik Bystrzanowski „z partii arystokratycznej" (ks. Adama Czartoryskiego), Wysocki, Jan Alegato (sic), Wiktor Heltman, Adolf Chrystowski, Franciszek Bobiński, członkowie towarzystwa demokratycznego, Karol Różycki, Mikołaj Kamiński, „zwolennicy sekty Towiańskiego". Wszyscy oni bądź opuścili Francję z zamiarem udania się do polskich prowincyj, bądź też gotują się do wyjazdu. „Z polecenia Jego Cesarskiej Mości mam zaszczyt te dane wraz z rysopisem osób wymienionych indywiduów przedstawić Wysokiej Specjalnej Komisji Śledczej". Tak pisał radca kolegialny carski Massow, w Poznaniu 3 kwietnia 1846 roku.

Przed ową osławioną komisją (Immediat Untersuchungs-Kommission) rozgrywał się epilog powstania. Więzienia były solidnie wypełnione, na resztki spiskowców urządzano łowy. Trzeba podnieść, że emisariusze nie znikli z widowni, lecz snuli się spełniając swe tajne misje, co wybijało ze snu urzędników pruskich. Oto Hipolit Meklenburg rodem z Kazimierza w pow. konińskim, w towarzystwie hr. Tyszkiewicza, „jak wpierw mając na celu rewolucyjną działalność" pojawił się jako przedstawiciel handlowy z Amsterdamu pod przybranym nazwiskiem Firrera. Aresztowany w Warszawie Michał Mirecki, obwiniony o udział w planach powstańczych Bronisława Dąbrowskiego w Królestwie Polskim, poczynił zeznania, z których wynikało, że Adam Aleksander Dzwonkowski z Nowego Dworu jest wysoce podejrzany (dringend verdächtig). W domu swego ojca, właściciela ziemskiego, odbył on dwie tajne konferencje z Dąbrowskim i otrzymał od niego instrukcję z Poznania, pisaną sympatycznym atramentem. Komisja śledcza poszukuje więc Dzwonkowskiego a prezydent regencji w Opolu najpewniej wespół z prezydentami innych regencyj zarządza pościg za spiskowcem, który właśnie w lutym bawił, rzekomo w sprawach rodzinnych, w Prusiech. Poszukiwani są hr. Adam Potocki i Hilary Meciszewski, właściciel realności, Antoni Brzeżański z Krakowa, pruski poddany, który brał udział w insurekcji, a skierowany przymusowo do Koźla, „nie udał się tam, lecz stosując ucieczkę uchylił się od nadzoru" — wreszcie jakiś Zaremba znajduje się wciąż jeszcze na Śląsku. We wrześniu 1846 roku alarmuje von Kottwitz (oczywiście Kotwicz!) w zastępstwie nadprezydenta prowincji śląskiej z Wrocławia, że dwaj Polacy, Jan Kamiński (Wagner) i Magdziński (Szołajski), jako emisariusze societé demagogique opuścili Paryż podążając do Galicji, pierwszy przez Strassburg, Frankfurt nad Menem, Lipsk, Berlin, Poznań i Wrocław, drugi przez Brukselę, Akwizgran, Hamburg, Gdańsk, Poznań i Wrocław. „W Poznaniu chcą obaj spotkać się u niejakiego Kalksteina, we Wrocławiu zaś u niejakiego Olozowskiego albo Olęchowskiego. Ten ostatni bawił kilka miesięcy w Ostendzie, z której jednakowoż wyjechał". O Magdzińskim wspomina się, że był głęboko zamieszany w ostatnią akcję rewolucyjną i zbiegł z fortu Winiary w Poznaniu, w którym był osadzony. Pismo von Kottwitza wywołało wielki ruch w urzędach landratów i spowodowało żandarmów do uwijania się a wskazanymi wywrotowcami.

Ale już od czerwca minęła wielka gorączka i znów był „błogi spokój". Herr Oberpräsident der Provinz Schlesien przychylił się nawet do wniosku wydziału spraw wewnętrznych regencji opolskiej, aby urzędnicy policyjni stacjonowani w celu surowej kontroli w centralnych punktach, przez które odbywał się ruch podróżujących do Krakowa, zostali stamtąd wycofani i wrócili do swych normalnych czynności. Znoszono dawniejsze zarządzenia w sprawie szczególnego nadzoru i inwigilacji podróżnych, zalecając jednak i nadal zwracać szczególną uwagę na Polaków i legitymować ich skrupulatnie (9. VI. 1846).

Jakby dla dopełnienia obrazu znajduje się pod koniec fascykułu plik aktów, których bohaterem jest gimnazjalista Leon Rymarkiewicz (Teodor Mroczkowski), zbiegły z Poznania, a aresztowany w Krakowie. Skazany za zdradę główną na 5 lat więzienia, odsiadywał je w „Freistaat Krakau", na którego władze, die Krakauer Regierung i dyrekcję policji, wywierano nacisk z Wrocławia, by więzień został wydany dla potrzeb Komisji Śledczej w Poznaniu. W korespondencji w tej materii bierze udział nadprezydent prowincji śląskiej v. Wedell, Komisja Śledcza w Poznaniu, prezydent policji poznańskiej Minutoli, dyrekcja policji w Krakowie, sam cesarsko-królewski feldmarszałek wojskowy gubernator Krakowa, „rycerz wysokich orderów" hrabia Castiglione i landrat pszczyński.

Na koniec 22-letni więzień stanu, choć schorowany, lecz „przy odwadze więźnia i dalekiej drodze" poczytywany za szczególnie niebezpiecznego, pod eskortą dwu odpowiedzialnych żandarmów odbywa podróż do Poznania i z powrotem do Krakowa. Być może, że w jakimś związku z nim pozostaje podejrzany o udział w „krakowskiej rewolucji" student Antoniewicz, w którego portfelu znaleziono zapiskę z zagadkowymi nazwiskami Czoczoli w Markowie(?) koło Raciborza i Sławika(?) koło Pszczyny. Nazwiska te na żądanie Komisji Śledczej miały być dokładnie wyjaśnione. Śląskie sprawy skupiały jak widać na sobie troskliwą uwagę inwestygatorów.

Rymarkiewicza powieźli sierżanci Beck i Lorenz. Dostali oni na drogę „instrukcję dla konwojujących transporta zbrodniarzy i włóczęgów", z widocznie jeszcze podówczas praktycznie potrzebnym przekładem polskim, drukowaną w Poznaniu, w roku 1817 przez „Król. Pruską Regencję I".

Pouczała ona m. in., że konwojenci „winni owszem, przebywając lasy i wąwozy do ujścia transportatów sposobne, baczność swoją podwajać, a w razie potrzeby ich wiązać lub ukaydanić".

„Konwojujący transporta, ani sami sobie, ani też transportatom, częste używanie upających trunków dozwalać, tudzież.

„Podarunków od transportatów przyjmować nie powinni, ani się też w jakikolwiek bądź handel z niemi wdawać niemniej, niedopuszczać, aby ostatnie z strony innych osób się działo".

W państwie bojaźni bożej obowiązywały jeszcze zasady na poły humanitarne:

„Konwojujący nie powinni z transportatami ani sami źle się obchodzić, ani też cierpieć, aby to ze strony innych nastąpiło; a w razie uporczywości transportatów, władzy naypierwszego etapu o tem donieść mają".

Pruski postęp policyjny do gestapo Hitlera i Himmlera miał przed sobą wiele jeszcze czasu. Cztery pokolenia.

Jest rzeczą fascynującą patrzeć przez źródła, w których wszystko występuje blade i zatarte, na ludzi działających w pracy spiskowej, uwijających się po Polsce i Europie, przygotowujących rewolucję. Żywotność tego elementu w kraju i na emigracji przekracza miarę zwykłych pojęć. W spisie wychodźców, „którzy od roku 1848 zwrócili na siebie szczególną uwagę, współdziałając w dążeniach narodowych, z wyjątkiem tych, którzy w następstwie amnestii wrócili do swej ojczyzny" — figuruje ponad 700 nazwisk. Listę ich zestawił w 1859 radca policji pruskiej w Poznaniu Niederstetter. Z nich 250 znalazło się w służbie tureckiej, 230 w węgierskiej. Wałęsali się po Mołdawii i Siedmiogrodzie, bili się w Palatynacie i Sabaudii, spiskowali na Śląsku i w Badenii, dożywali lat w Anatolii, Meksyku, Stanach Zjednoczonych i Australii, byli w legii cudzoziemskiej i tureckich kozakach. Narodowcy, chrześcijańsko-socjalni, socjaliści i komuniści, ziemianie i studenci, księża i praktykanci handlowi, czeladnicy i rentierzy, szewcy, księgarze, kupcy, nauczyciele, żołnierze, drukarze, konserwatorzy, fabrykanci koronek, lekarze, żurnaliści, poeci, finansiści, Żydzi i nawróceni na islam — wszyscy opętani ideą wyzwolenia narodowego, wielu także ideą wyzwolenia społecznego.

Wyraźnie wymienia pruski spis kilku śląskich działaczy: Michał Dembiński, czynny w 1848 we Wrocławiu i w 1852 na Górnym Śląsku. Ksawery Fink, emisariusz, aresztowany w 1852 we Wrocławiu, Józef Jasiński w 1848 emisariusz na Śląsku austriackim. Leon Kapliński, malarz, w 1846 pociągnięty do śledztwa w procesie polskim, w 1852 aresztowany we Wrocławiu. Józef Rupniewski, do 1849 w Krakowie, potem we Wrocławiu.

W istocie było ich dużo więcej. Policyjne akta jednego fascykułu z roku 1846 pouczyły nas o tym dowodnie. Spiskowcy uwijali się żywo po Ślasku w przededniu rewolucji lutowej. Jeździł tam wtedy sam „Pan Ludwik". Jeżeli L. Gorzkowski przechwalał się przed Mierosławskim w Krakowie swoimi wpływami na Śląsku, zwłaszcza wśród studenterii wrocławskiej — nie było to przesadą. Szkoda, że Marian Tyrowicz nie dał dotąd zapowiedzianych wiadomości obszerniejszych o śląskich przygotowaniach rewolucyjnych. Jest rzeczą pewną, że Śląsk był **ściśle związany** ze sprawą, której stulecie przypadło nam obecnie obchodzić.

We wspomnianej monografii M. Tyrowicza jest garść szczegółów o niektórych działaczach, wymienionych w Acta Speciala, a nas interesujących. Tak więc Hilary Meciszewski, autor pamiętników, był senatorem i jednym z przywódców opozycji w Sejmie krakowskim i brał udział w nieudałej próbie zamachu na dyktaturę Tyssowskiego. Hr Adam Potocki, właściciel Krzeszowic, bawił po powstaniu krakowskim w Dreźnie. Hipolit Meklenburg (Mecklemburg) nazywany był „wodzem z Amsterdamu". — Rymarkiewicz nie cieszył się sympatią Tyssowskiego. Wraz z Zawiszą, Rogińskim i Rużyckim, „nieponiami z emigracji" podrzucali oni przed samym wybuchem ruchu sztylety w lokalach publicznych w Krakowie i szerzyli wersje, że wkrótce tych sztyletów będzie bardzo potrzeba. Tyrowicz zapatrzony w Tyssowskiego, gotów jest dzielić jego niechęć do Rymarkiewicza i towarzyszy, pisząc o nich, że „zdradzali właściwie najbardziej mętne pomieszanie idei przewrotu „komunistycznego" z celem przyszłej rewolucji, **o ile nie byli wprost podpłaconymi prowokatorami"** (podkreślenie nasze). Otóż nie byli, przynajmniej nie był prowokatorem Rymarkiewicz, włóczony po więzieniach przez Austriaków i Prusaków. Figuruje on również w spisie Niederstettera jako uczeń polskiej akademii wojskowej i uczestnik rozruchów we Włoszech, kontynuował więc i później swą rewolucyjną działalność.

W tym świetle hańbiący domysł, na domiar pozbawiony jakichkolwiek podstaw, a obalony przez nasze źródła, jest oburzający.

Henryk Dobrowolski i Józef Sieradzki

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia"

Tadeusz Stanisław Grabowski: Zapytania redakcji wprawiają mię w wielkie zakłopotanie. Należę bowiem do tych, co straciwszy doszczętnie wszystko w Warszawie, muszą odbudowywać swój aparat naukowy na nowo, od samych podstaw, zwłaszcza, że i ten aparat, wobec wieloletniej służby na innym odcinku życia społecznego, doznał znacznych luk i zaniedbań. Wystarczy powiedzieć, że blisko 10-tysięczna biblioteka samych „slavica" spłonęła mi do ostatniego świstka, wraz z rękopisami własnymi i cudzymi, a były tam rzeczy, jakich w żadnej polskiej bibliotece nie znajdę.

Do tego dochodzi druga poważna trudność. Wszak dziś profesorowie uniwersytetów wymieniać się muszą „na drobne" na każdym kroku, raz ze względu na tak modne dzisiaj, u literatów zwłaszcza, „zamówienie społeczne" — po wtóre, dla chleba, panie, dla chleba, aby koniec z końcem związać, siebie i rodzinę bliższą i dalszą wyżywić — bliższą tu w Krakowie, a dalszej pomóc, tej na kresach zachodnich czy wschodnich, czy nawet w Kazachstanie. A to wszystko stanowi poważne rubryki.

Jakżeż w takiej sytuacji myśleć o drukowaniu nowych prac, o planowaniu naukowym na szerszą skalę? Niemniej będę się starał odpowiedzieć na postawione pytania.

1) Wydaję popularną rzecz o Łużycach i Łużyczanach, powstałą z wykładów na kursie słowianoznawstwa dla nauczycieli szkół średnich, oraz Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich. Leży już od paru miesięcy w kancelarii Kuratorium Okręgu Katowickiego, któremu zdaje się brakło gotówki i odkłada druk dalszych swych wydawnictw do lepszych czasów.

2) Pracuję teraz nad dziesięciu pracami naraz, z konieczności, więc można sobie wyobrazić, jak postępują. Najważniejsza i najpilniejsza sprawa to przygotowanie do druku kursu wykładów pt. „Szkic dziejów nowszych literatur słowiańskich" (zachodnich i południowych na razie), jakie będą niewątpliwie potrzebne i dla tych kursistów, co uczęszczali na tegoroczny kurs słowianoznawstwa, jak i dla tych, co przyjdą w następnych latach. Zbieramy też wraz z paru innymi kolegami materiały do wydania pewnego rodzaju antologii o Słowiańszczyźnie dawnej i dzisiejszej na podstawie wyjątków z najcelniejszych pisarzy słowiańskich (w przekładach polskich) oraz z polskich pisarzy, zajmujących się Słowiańszczyzną. Wszystko opatrzone odpowiednimi wstępami i objaśnieniami.

Jak z powyższego widać, są to wszystko „zamówienia społeczne" dla celów wychowawczo-oświatowych, a więc praca nie ściśle naukowa, choć na naukowych podstawach oparta.

3) Co do planów pisarskich i wydawniczych, to również roi mi się ich sporo, może więcej, aniżeli na to sił i czasu starczy. A więc przede wszystkim chciałbym się wypłacić ze starych „długów" i wydać zbiór studiów z literatury czeskiej, dotyczących szczególnie naszych czeskich przyjaciół, pt. „Przez życie do ideału", jako pendant podobnego zbiorku jednego z najszlachetniejszych polonofilów czeskich i doskonałego tłumacza polskiej poezji romantycznej i młodopolskiej, Franciszka Kvapila, autora cyklu szkiców i studiów o polskich czechofilach pt. „Zivotem k ideálu" (Praha, 1904).

Podobnym spłaceniem długu wobec siebie samego byłoby wydanie wielokrotnie zapowiadanego, a nie wydanego w osobnej książce, z powodu wypadków wojennych, trzeciego tomu mej młodzieńczej „Współczesnej Chorwacji", poświęconego dramatowi serbo-chorwackiemu i jego najwybitniejszemu przedstawicielowi w ostatniej epoce, Ivonowi Vojnovićowi, mimo wydania (opartej w znacznej części na moich materiałach) specjalnej monografii o tym pisarzu, ale inaczej pojętej, przez nieodżałowanej pamięci Józefa Gołąbka, docenta Warszawskiego Uniwersytetu, tragiczną ofiarę oblężenia Warszawy w 1939 r.

Trzecim i to najcięższym do spłacenia długiem będzie odtworzenie, przynajmniej w głównym zrębie, wykończonej w czasie okupacji i spalonej podczas powstania warszawskiego monografii o niezmiernie ciekawym poecie końca XVI i początku XVII w. Juraju Barakoviću, z jego fantastycznymi przygodami podczas wojen z Turkami, ucieczką na łodzi poprzez Adriatyk i wyspy dalmatyńskie, działalnością literacką w Italii i śmiercią w Rzymie.

Ostatnim wreszcie i najbliższym sercu będzie opracowanie w języku polskim życia i działalności naukowo-literackiej najcenniejszego naszego przyjaciela w Bułgarii, śp. prof. Bojana Penewa, tęgiego znawcy i wykładowcy historii literatury polskiej w Sofii, wielbiciela naszej poezji, przez którą marzył o odrodzeniu i podniesieniu duchowym twórczości literackiej Bułgarów.

Z prac przekraczających zakres słowianoznawstwa muszę odtworzyć w co najmniej trzech czwartych obszerniejszą rzecz o Polakach w Brazylii, dającą całokształt dziejów naszej tam emigracji i kolonizacji, jej dorobku gospodarczego i kulturalnego w ciągu blisko stulecia, oraz oceny literatury o tym osadnictwie. Rzecz była już od 1938 r. w połowie na matrycach warszawskiej Drukarni Współczesnej, która swym bałaganstwem przeciągnęła druk do września 1939 r. Wojna zniszczyła i skład i rękopisy. Uratowało się zaledwie kilka pierwszych rozdziałów, drukowanych w „Przeglądzie Współczesnym". Spalenie paru tysięcy pierwszorzędnych zdjęć, niestety, pozbawi wydanie zamierzonych pierwotnie, oryginalnych ilustracji.

Poza tym chciałbym dokończyć rozpoczęty podczas wojny pamiętnik osobisty z czasów mej młodości studenckiej, czasów nauczycielskich i służby dyplomatycznej, nie dla chwały własnej, ale z poczucia wdzięczności wobec tych, co kształtowali dusze mego pokolenia na jednym z odcinków naszej ziemi, oraz z poczucia obowiązku wobec — jeśli wolno się tak wyrazić — „prawdy dziejowej" w okresie budowania naszej wtórej państwowości, metod i praktyk w naszej służbie zagranicznej, postawy politycznej w najbardziej brzemiennej w następstwa epoce dziejowej.

Jeśli mi się do tego wszystkiego uda spełnić i ostatnie marzenie młodości: napisania historii Jarosławia, mego rodzinnego miasta, do której materiały zbierałem przez całe życie (w olbrzymiej większości również przepadłe pod gruzami Warszawy), będę mógł powiedzieć, że spłaciłem wszystkie zaciągnięte w różnych okresach życia długi moralne, że się jako tako wywiązałem z mego „zamówienia społecznego" i będę mógł może wreszcie pójść na... drugą i chyba ostatnią w mym życiu emeryturę.

Wojciech Natanson: Naszkicować główne prądy, kierunki, tendencje współczesnego dramatu polskiego i zagranicznego; zastanowić się nad tym, co w tej literaturze dramatycznej wydaje się nowe, oryginalne i wartościowe, pokazać rolę teatru w świecie współczesnym; ustalić pozycję nowej poezji dramatycznej wobec literatury wieków ubiegłych; zestawić ją wreszcie z innymi zjawiskami sztuki i kultury. Taką sobie nakreśliłem (na pewno zbyt ambitną!) dyspozycję, gdym postanowił napisać przed wojną książkę na te tematy. Podstawą miały być moje recenzje i essaye teatralne z lat 1934—1939; tytuł projektowałem: „Epoka busfeketyzmu". Bus-Fekete był to autor węgierski, którego tandetne, banalne i partackie sztuki stanowiły bardzo poważną część repertuaru teatrów w wielu krajach. Otóż chciałem na tym ciemnym i brzydkim tle uwydatnić to, co mi się wydawało we współczesnej literaturze naprawdę piękne, wartościowe; artystycznie, społecznie i etycznie cenne.

Przyszła wojna. Zrazu nie mogłem pisać; gnębiły mnie troski różnego rodzaju. Gdy się do nich wreszcie przyzwyczaiłem, spróbowałem m. in. wrócić do mojej książki. Zmieniłem tytuł na bardziej poważny: „Teatr między dwiema wojnami". Napisałem już pewną liczbę rozdziałów do lata 1944. Żołnierze niemieccy 5. XI. tego roku spalili moje mieszkanie. Gdy potem w marcu 1945 oglądałem garści popiołu, nie mogłem odróżnić, która z nich była kiedyś moim rękopisem, a która książką z biblioteki.

Obecnie próbuję rekonstruować moją pracę. Ale piszę z trudnością, przełamując opory. Brak mi materiałów, biurko moje staje się rumowiskiem prac niedokończonych. Widzę uciekający czas — i jak prześcigniętý na bieżni lekkoatleta — tracę nieraz nadzieję, że dogonię tego potężnego rywala.

Józefina Rogosz-Walewska: Wydaję obecnie u St. Kamińskiego powieść „Hubert". Pracuję nad dwoma cyklami wierszy. Jeden cykl zatytułowany jest „Krzyki". Poświęciłam go przeżyciom moim na „Montelupich" i w „lagrze" w Płaszowie, gdzie przebywałam w 1944 roku.

Opracowuję cykl wierszy pt. „Krzywda". Piszę w tych wierszach o krzywdzie dzieci i zwierząt. Te dwa cykle złączone mam zamiar wydać u St. Kamińskiego.

Poza tym opracowuję „Legendy Polskie" z cyklu „Ziemia mówi".

Dla dzieci napisałam drugą część „Dzieci pana Majstra". Pierwsza część jest pióra siostry mojej śp. Zofii Rogoszówny.

Wykończyłam teraz także bajkę „Tajemnica serduszka Anusi".

Marian Ruth-Buczkowski: W najbliższych dniach nakładem Gebethnera i Wolffa ukaże się „Warszawski dowcip w walce". Będzie to rodzaj antologii bezimiennej twórczości satyrycznej z okresu okupacji. Rysunki Leopolda Buczkowskiego i Antoniego Uniechowskiego.

„Łącznik Komendy Głównej", powieść psychologiczna o ludziach konspiracji i powstania, będzie skończony na jesieni.

Gromadzę notatki do dalszego ciągu „Tragicznego pokolenia". Tu zaznaczę, że nie zmieniłem swoich przedwojennych przekonań i pozostałem katastrofistą.

Na warsztacie mam sztukę o Warszawie. O innych planach dam znać we właściwym czasie.

Zygmunt Wasilewski: Obecnie z powodu utraty wzroku nad niczym nie pracuję, miałbym jednak do wydania kilka książek, przedtem w Warszawie w czasie wojny napisanych. Niestety nie o wszystkich odpisach rękopisów wiadomo mi, gdzie się znajdują, archiwum zaś moje całkowicie spłonęło. Być może z tej ankiety posiadacze tych odpisów dowiedzą się, że ich poszukuję.

Otóż, począwszy od r. 1940 do 1944, przygotowałem do wydania następujące prace:

1. Autobiografię pt. „Życiorys" (r. 1865—1939) — odpis tej książki posiadam.
2. „Listy do przyjaciela". Jest to zbiór listów R. Dmowskiego, poprzedzony moją rozprawą.
3. „O sposobie pojmowania psychiki narodowej".
4. „Lwów przodujący" (r. 1895—1914) — studium o życiu kulturalnym ówczesnego Lwowa.
5. „Jadwiga Marcinowska" — Zarys wizerunku.
6. Drugie wydanie przygotowane do druku, znacznie rozszerzone, monografii o Janie Kasprowiczu — (dla Biblioteki Polskiej w Warszawie).
7. Drugie wydanie książki o Norwidzie wraz z książką „Aspazja i Alcybiades" — (Żmichowska o Norwidzie).
8. Prócz tego liczę, że będzie wydany zbiór moich szkiców literackich, oddany przed wojną księgarni Gmachowskiego w Częstochowie. Zbiór ten nosi tytuł „Przekazy XIX w.".

Bardzo będę wdzięczny tym, którzy nadeślą mi wiadomość o losach któregokolwiek z tych rękopisów.

Kazimierz Wyka: Nie umiem odpowiedzieć, czy piszę naprawdę pewne książki, czy tylko mi się wydaje, że je piszę. To nie paradoks. Chodzi o to, że krytyk w Polsce był zawsze skazany, a przy obecnym nadmiarze zajęć, zwłaszcza typu organizacyjno-społecznego, skazany jest podwójnie na pracę dorywczą, od wypadku do wypadku. O tym, by zasiąść i napisać książkę, jak mogą to czynić koledzy-powieściopisarze, wolno mu marzyć z równym powodzeniem, co o locie na księżyc.

Zatem wydaje mi się, że piszę trzy książki. Pierwszą o zagadnieniach prozy i realizmu, drugą o poezji współczesnej, trzecią o psychologii społeczeństwa polskiego za okupacji. Przykłady: drukowane na łamach „Odrodzenia" „Tradycje prozy polskiej" to jedno z ogniw pierwszej książki, „Józef Czechowicz" z „Kameny" to ogniwo drugiej, „Gospodarka wyłączona" trzeciej. Na tej ostatniej z zamierzonych prac najbardziej mi zależy. Czy książki te zostaną rzeczywiście napisane, czy nie ulegam złudzeniu, będę wiedział za dwa, trzy lata.

Taka odpowiedź jest zarazem odpowiedzią dotyczącą zamiarów na bardzo daleką przyszłość. Bo, jeśli o przyszłość chodzi, najbardziej mi zależy na wydaniu książek dawno napisanych. Skoro zaś na ukazanie się drukiem „Modernizmu polskiego", którego skład gotów jest sprzed wojny, czekam już prawie rok, wolno przypuścić, że wydanie dwóch książek pozostałych „Pokolenia literackie" i „Norwid, czyli poeta kultury" — zajmie przynajmniej pięć lat. Z czego wynika, że książki, o których nie wiem, czy się piszą naprawdę, mogą się pisać spokojnie i długo.

Jerzy Zawieyski: Nic w tej chwili nie piszę, ale przygotowuję się do pisania. Plany moje są rozległe, gdyż poza powieścią i dramatem obejmują krytykę. Piszę powoli i z trudem coraz większym, więc nic nowego prędko nie opublikuję. Myślę o powieści, którą widzę w ogólnym kształcie i czuję jej atmosferę, a zwłaszcza środki wyrazowe, decydujące o chęci, czy o konieczności pisania, — myślę także o dramacie, ale nie przystąpię wcześniej do pracy, nim się pierwej nie uporam z pewnymi zagadnieniami artystycznymi, jakie mi oba zamierzenia nasuwają. Nie z ducha przekory, lecz z głębszych powodów — nie mieszczą się moje pragnienia pisarskie w konwencjach formalnych i ideowych powieści tzw. realistycznej, czy dramatu realistycznego. Nie ufam ani obiektywnie, ani subiektywnie postulatom dziś aktualnym w krytyce literackiej. Sytuacja twórcza pisarzy jest o wiele trudniejsza, niż się na ogół wydaje i nie rozwiąże jej żadna doraźna koncepcja, najbardziej rzekomo trafna i optymistyczna. Stąd wynika konieczność przemyślenia na nowo wielu spraw i wielu zagadnień, lecz nie tych, opisywanych tak często i tak głośno, nawet w prasie codziennej, która znalazła odpowiedź na pytanie: „jak żyć"? „jaka jest prawda naszej epoki"? i domaga się od pisarzy, aby potwierdzili te prawdy w swoich utworach. W łączności z kwestiami artystycznymi i ideowymi pozostają moje zainteresowania krytyczne i filozoficzne. Na tom, który w przyszłości z tych przemyśleń powstanie, złożą się studia, (nie essaye) z zakresu dramaturgii, powieściopisarstwa i poezji. Pragnąłbym w ten sposób określić własną samowiedzę artystyczną. Niektóre z filozoficznych rozpraw, jak np. „O nowym humanizmie", „O zależnościach sceptycyzmu i dogmatyzmu na terenie teorii poznania", będą drukowane w najbliższej przyszłości.

Na razie zatroskany jestem dorobkiem wojennym. Ostatnio wyszła powieść „Droga do domu", druga powieść pt.: „Noc Huberta" wyjdzie nakładem „Czytelnika". Czekają także na realizację dwa dramaty.

Adam Znamirowski: Na wydawanie rzeczy dawnych i najdawniejszych dziś nie pora — jednak jeden z dawnych dramatów pt. „Starosta Achacy", drukowany zresztą ongiś w wyjątkach w periodyku, powinien by w najbliższym czasie ukazać się jako książka przed omawianym już wystawieniem go na jednej ze scen. W dramacie tym siedemnastowiecznym historia jest tylko rytmem zdań, czymś w rodzaju odległej muzyki. (Czy tragizm w aż tak bezpardonowej krańcowości, jaką wciela ten dramat, jest dziś bardziej dopuszczalny niż kiedykolwiek — nie wiem).

Na ogół nadszarpnęły okoliczności wojenne znacznie mój literacki dorobek — z tego, co pozostało (wiersze, nowele, utwory dramatyczne, studia...), będę chciał skompletować zbiory w celach wydawniczych. Pracuję nad powieścią, która wyrasta z konfrontacji trzech epok, tak bliskich czasowo a tak kosmicznie dalekich sobie treścią: wojennej, przed- i powojennej.

*) Por. odpowiedzi w nr nr 68—71 „Odrodzenia".

Korespondencja

NIE POLSKA, LECZ FINLANDIA

Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z ciekawym artykułem J. A. Szczepańskiego „Przerosty watykanizmu" („Odrodzenie", nr 69), chciałbym dorzucić jeszcze jedną uwagę w sprawie dowodów przytaczanych przez „Tygodnik Powszechny" w obronie Piusa XII. Chodzi mi o „alokucję" z dnia 24. XII. 1939 r., której urywki przytacza nr 47 „Tygodnika Powszechnego", zwracając się następnie do swego antagonisty, p. „jaszcza" z zapytaniem, kogo miał papież w powyższej alokucji na myśli. Byłem przekonany, że p. „jaszcz" nie omieszka na to pytanie odpowiedzieć, widocznie jednak nie uczynił tego, skoro p. Szczepański w swym ostatnim artykule zarzuca tej alokucji (razem z innymi wypowiedziami papieża) jedynie „ostrożność, dwuznaczność, bezbarwność" itp.

W tej sytuacji uważam za słuszne odpowiedzieć na rzucone przez publicystę z „Tygodnika Powszechnego" pytanie.

Otóż stwierdzam, że w alokucji z dnia 24. XII. 1939 miał Pius XII na myśli nie Polskę, lecz... Finlandię. Tak jest! Przypomnijmy sobie przede wszystkim, że wojna Związku Radzieckiego z Finlandią rozpoczęła się dnia 30. XI. 1939, a więc na krótko przed wydaniem omawianej alokucji. Następnie zanalizujmy przytoczone przez „Tygodnik Powszechny" urywki tekstu. Jest tam więc zwrot o „agresji przeciwko małemu, pracowitemu i spokojnemu narodowi". Czy ktokolwiek, kiedykolwiek nazwał naród polski w ten sposób? Nazywano go niekiedy małym; natomiast określenia „spokojny", a tym bardziej „pracowity" musimy całkowicie wykluczyć. W stosunku do Finlandii natomiast wszystkie te trzy przymiotniki są uderzająco trafne, a w każdym razie były takimi w r. 1939.

Przejdźmy do następnych słów: „pod pretekstem zagrożenia, które nie istniało, a nawet było niemożliwe". Twierdzić, że zagrożenie Niemiec ze strony Polski nie tylko nie istniało, ale było nawet n i e m o ż l i w e, wydaje mi się rzeczą przesadną. Że nie istniało w r. 1939, z tym się wszyscy zgadzamy, ale że było w ogóle niemożliwe, nie twierdził nikt z Polaków, ani naszych przyjaciół; przeczy temu historia. Tym bardziej niemożliwą jest rzeczą, żeby twierdzenie takie padło z ust Piusa XII. Natomiast w odniesieniu do Finlandii i Związku Sowieckiego przytoczone określenie nosiło w danym momencie wiele cech słuszności, a w ustach papieża nikogo nie mogło zdziwić.

Dalsze urywki, przytoczone przez „Tygodnik Powszechny" można odnieść równie dobrze do wojny polskiej, jak i fińskiej.

Do powyższego dodam, że opinia światowa zgodnie odnosiła omawianą alokucję właśnie do sprawy fińskiej, co mogłem stwierdzić, słuchając audycji radiowych różnych państw. Niewątpliwie prasa światowa z tego okresu dostarczyłaby jeszcze dalszych dowodów, sądzę jednak, że przytoczone powyżej są zupełnie dostateczne.

Tak więc widzimy, że alokucja z dnia 24. XII. 1939 r., jedyny dokument, w którym agresor spotkał się z istotnie ostrym napiętnowaniem ze strony papieża Piusa XII, n i e odnosi się do agresji niemieckiej na Polskę.

Bronisław Wolski (Łódź)

LOSY LWOWSKIEJ BIBLIOTEKI TEATRALNEJ

Do redaktora „Odrodzenia"

Już dwukrotnie w „Odrodzeniu" (J. Koller, W. Hahn) poruszano sprawę lwowskiej biblioteki teatralnej. Chciałbym do wyjaśnień prof. Hahna dorzucić kilka — jak się zdaje — nieznanych szczegółów.

Zbiór określany jako biblioteka Hellera, wyłączony z biblioteki teatru i przekazany miastu, stanowi najcenniejszy zespół lwowskich teatraliów. Na początku 1940 roku został przewieziony do „Ossolineum", które było w tym okresie schroniskiem dla wielu bibliotek podlegających komasacji.

Składał się on z — istotnie bogatej — kolekcji afiszów oraz przeszło 600 egzemplarzy teatralnych. Ta ostatnia część została przekazana oddziałowi rękopisów.

W końcu 1940 r. przystąpiono do inwentaryzowania tych materiałów. Ogromną większość stanowiły rękopisy, m. in. znajdowały się tam prawie wszystkie rękopisy J. N. Kamińskiego, wzmiankowane przez Bernackiego w jego pracy o Kamińskim. Fredrowskiej „Intrygi na prędce" nie było. Reszta to druki (sto kilkadziesiąt sztuk), ale z wyraźnymi śladami pracy teatralnej: adnotacje cenzury, skróty i poprawki reżyserskie, notatki obsadowe i druków czystych zaledwie kilkanaście.

Chronologicznie materiał sięga pierwszych lat sceny lwowskiej. Kilka rękopisów odnosi się jeszcze do przedlwowskich czasów J. N. Kamińskiego, do jego działalności na terenie Odessy, Kamieńca i Dubna. Repertuar teatru lwowskiego — okresu od drugiego do szóstego dziesięciolecia ubiegłego wieku — jest reprezentowany w zbiorze prawie kompletnie. Egzemplarzy późniejszych jest stosunkowo niewiele. Prawdopodobnie ta późniejsza część zbioru nie przeszła w swoim czasie do muzeum miejskiego. Być może właśnie ona zjechała wraz z teatrem lwowskim do Katowic.

Zbiór złożony w „Ossolineum" opracowywano szczegółowo jeszcze do połowy 1941 roku. Pracy nie zakończono. Z całym oddziałem rękopisów zbiór przeniesiono do prawego skrzydła gmachu (w latach 1940—41 oddział rękopisów „Ossolineum" znajdował się w skrzydle, w którym do r. 1939 mieściło się muzeum Lubomirskich), gdzie przechowywano go do ostatnich czasów. Prawdopodobnie będzie dzielił losy „Ossolineum".

Nadmieniam, że w „Ossolineum" poza tzw. biblioteką Hellera znajduje się jeszcze wiele innych teatraliów. W spisie skatalogowanych rękopisów mamy szereg egzemplarzy teatralnych dawniej włączonych do bibliotek. Wśród zbiorów nieskatalogowanych mamy papiery po Rudkiewiczu (aktorze lwowskim i krakowskim z pierwszej połowy ub. w.), archiwum Gostyńskiej i wiele innych.

Znaczenie tych wszystkich materiałów dla teatrologii polskiej jest oczywiste. Zwłaszcza, że są to rzeczy dotychczas prawie niewyzyskane.

Jerzy Kreczmar (Łódź)

CZWARTA JOANNA

Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z artykułem p. L. Podhorskiego-Okołowa „O mickiewiczowskiej ‚Donnie Giovannie'", zamieszczonym w nr 69 „Odrodzenia", nasuwają się następujące uwagi, które mogą stanowić dodatkowy argument na korzyść bronionej przez autora tezy.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że p. Podhorski-Okołów myli się, twierdząc, że imię Laury, użyte przez Mickiewicza w sonecie „Przypomnienie", odnosi się do Maryli Wereszczakówny. Faktem jest bowiem, że utwór ten był czytany w Towarzystwie Filomatów dnia 19 maja 1818 r., a więc przed poznaniem Maryli, które nastąpiło w lecie 1819 r. (ob. A. Drogoszewski: „Mickiewicz poznaje Marylę", „Ruch Literacki" z 1930 r., nr. 9, str. 270 i n.). Sonet zatem pisany był dla innej osoby. Dla kogo? Nie ulega wątpliwości, że dla Joasi (vel Johasi), nieznanej dotąd z nazwiska hożej szlachcianeczki z okolic Nowogródka. Jak wiadomo, Mickiewicz zakochał się w tej dziewczynie jeszcze przed wyjazdem na uniwersytet i (z wyjątkiem krótkiego epizodu z tajemniczą Anielą) pozostał jej wierny w ciągu najbliższych pięciu lat. Jeszcze w dniu 25 października 1819 r. poeta nasz wyzna Czeczotowi: „Znałem kilka kobiet godnych wszelkiego szacunku, znałem jedną, nad którą żadna mi się w życiu więcej nie podoba"... („Dzieła wszystkie", wyd. sejmowe, Warszawa 1936, t. XIII, str. 34). Że o Joasi tu mowa, dowodzi najlepiej ballada „To lubię", napisana w grudniu 1819 r., którą Mickiewicz w maju 1820 r. chce mieć na osobnej kartce wydrukowaną: „muszę posłać Johasi, dla której pisałem" (tamże, str. 93) Z zestawienia powyższych dowodów wynika, że imię „Laura", użyte w sonecie „Przypomnienie" jest kryptogramem imienia „Joanny" (Joasi). Jeżeli tak jest istotnie, to i domniemana „Laura" z sonetu „Pożegnanie — Do D. D." jest również kryptogramem „Joanny" (oczywiście nie identycznej ze wspomnianą wyżej Joasią).

W ten sam sposób wyjaśnia się także imię zagadkowej bohaterki XII sonetu miłosnego. Jak wiadomo ma on następujące zakończenie:

„Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę,
I kochance, że uczy chwalić Pana Boga".

To śmiałe mieszanie Boga do całkiem niepobożnych spraw słusznie wywołuje zdumienie śród badaczy twórczości Mickiewicza (por. J. Kleiner, „Mickiewicz", Lwów 1934, t. I, str. 468). Nieporozumienie polega tu znowu na tym, że przytoczone słowa zawierają prawdopodobnie również kryptogram imienia bohaterki sonetu. Aby rozwiązać odpowiednią zagadkę, należy sobie uprzytomnić, że właśnie św. Jan (Chrzciciel), który prostował ścieżki Pańskie, wzywał ludzi do modlitwy, nawołując ich: „Chwalcie Pana!" Aluzja zatem jest aż nadto przejrzysta: poeta adresuje swój utwór do osoby, noszącej imię Joanny. Nie ulega wątpliwości, że chodzi tu o tę samą donnę Dżiowannę („D. D."), której Mickiewicz poświęcił inne, omówione przez p. Podhorskiego wiersze.

Na zakończenie słów kilka w poruszonej ubocznie przez p. Podhorskiego sprawie realnych prototypów niektórych postaci z „Pana Tadeusza": Zosi, Telimeny — Tadeusza, Hrabiego. Otóż nie zwrócono dotąd uwagi na to, że sytuacja tych postaci przypomina do złudzenia sytuację naszego Adama z 1820 r. Jak wiadomo, Mickiewicz zakochał się w Maryli latem 1820 r. Przed tym jednak zawiązał on „wszeteczny" romans z p. doktorową Karoliną Kowalską z Kowna, co w następstwie przyczyniło mu niemało troski i udręczeń. Rywalem jego podczas zdobywania względów starszej o lat 8 od poety piękności prowincjonalnej był niejaki Feliks Nartowski, szambelan dworu austriackiego (imię tego konkurenta zawdzięczamy jego wnukowi, p. Feliksowi Nartowskiemu z Warszawy). Stosunki pomiędzy obu młodzieńcami nie były najlepsze i doprowadziły w kwietniu 1821 r. do znanej awantury, podczas której sylwetka długiego i chudego arystokraty galicyjskiego zarysowała się aż nadto groteskowo (ob. „Korespondencja filomatów", t. III, str. 275 in.). Jest rzeczą nader prawdopodobną, że Mickiewicz, pisząc „Pana Tadeusza", przeniósł niektóre cechy Karoliny i szambelana na kreślone przez siebie postaci Telimeny i Hrabiego, a pewne cechy własne i Maryli — na postaci Tadeusza i Zosi. Nie potrzeba oczywiście bliżej uzasadniać, że na sprawy i postaci z „Pana Tadeusza" złożyło się nadto więcej jeszcze wpływów życiowych i literackich, czego na tym miejscu wyczerpująco omówić nie podobna.

Z. Sitnicki (Warszawa)

O POLSKIM FILMIE

Do redaktora „Odrodzenia"

Pojawiające się w prasie artykuły na tematy filmowe można podzielić na dwa rodzaje: krytyczno-napastnicze i obronno-wyjaśniające.

Autorzy pierwszego rodzaju krytycznie oceniają kroniki filmowe, realizowane przez grupę ludzi dobrej woli, w warunkach aż nadto ciężkich (pierwsze kroniki sięgają czasów działań wojennych) i domagają się dobrych filmów pod groźbą odsądzenia tych ludzi od czci i zaufania.

Drudzy — pracując na zgliszczach przedwojennego przemysłu filmowego, jeśli w ogóle ten termin w rozumieniu europejsko-amerykańskim można stosować do wyczynów kilku przedsiębiorstw filmowych w latach międzywojennych — tłumaczą trudności i starają się zdobyć zrozumienie dla swej niełatwej pracy.

Jak w wielu u nas dziedzinach, tak i w dziedzinie produkcji filmowej rozpoczyna się pracę od samego początku.

Krytykować łatwo, — doradzać rzeczowo i dobrze — bardzo trudno. A opinia zawsze idzie po linii najmniejszego oporu.

Sprawa filmu jest niezwykle ważna z wielu przyczyn. Film jest nie tylko sztuką, nie tylko rozrywką, nie tylko jedną z wielu gałęzi produkcji, ale również potężnym czynnikiem wychowawczym i wyrazicielem kultury narodu.

Film polski może mieć i powinien mieć doniosłe znaczenie w życiu narodowym i państwowym, nie tylko na użytek wewnętrzny, ale też dla zapoznania zagranicy z Polską. Powinien on sobie wytknąć cel i program pracy. Sfilmowanie mniej lub więcej interesującej powieści lub dramatu nie rozwiązuje zagadnienia.

Podstawową kwestią jest sprawa fachowców ocalałych po wojnie oraz szkolenie młodych fachowców. Że specjalizacja jest rzeczą konieczną, nikt tego nie kwestionuje, bo trudno zaprzeczyć, że do rozpoczęcia produkcji nie wystarczą tylko urządzenia, narzędzia, pomieszczenia itd.

Zarzucanie bezczynności powołanej do życia placówce lub krytykowanie czynionych wydatków — do niczego nie doprowadzi. Nic też nie poradzimy na to, że młodzi filmowcy próbując swych sił — muszą eksperymentować na koszt publiczny.

Od krytyki tego, co zrobiono — należy przejść do pokazywania jak i co należy robić, aby było lepiej. Wacław Kubacki w artykule „Na temat filmu" w nr 69 „Odrodzenia" — ten pierwszy krok zrobił, gdyż wysunął wniosek, że należy opracować statut dla „Filmu Polskiego".

Porównanie filmowca z ministrem dowolnego resortu — nie wytrzymuje jednak krytyki. Filmowiec, jak powieściopisarz, musi znać się prócz psychologii na wielu sprawach i posiadać podstawowe wiadomości w wielu specjalnościach. Aby zrealizować dobry film, wytwórnie zagraniczne mają cały sztab doradców-specjalistów poszczególnych dziedzin, a ponadto istnieje funkcja „kierownika produkcji".

Zrobienie dobrych filmów po sześcioletniej przerwie i to zaraz w pierwszych kilku miesiącach po zakończeniu działań wojennych — było niemożliwe. Ludzie, którzy przed wojną pracowali w dziedzinie filmu, jeśli nawet przystąpili do pracy, to po wyjściu z piekła hitlerowskiego nie mogli dać z siebie tego, na co ich stać. I w innych dziedzinach twórczości pierwsze prace nie były rewelacjami — poza wyjątkami, które potwierdzają regułę. Młodzi zaś nie mieli gdzie się uczyć. Wiadomo przecież, że produkcja filmowa wymaga przygotowania, wiedzy fachowej i doświadczenia.

Młodzi filmowcy, zanim przystąpią do twórczej pracy, muszą być zagranicą, gdzie produkcja filmowa nie została przez wojnę przerwana, aby zapoznać się ze wszystkimi zdobyczami techniki filmowej. Nie możemy lat okupacji dźwigać za długo.

Warto się też zastanowić nad tym, jak powstaje wartościowy film.

Jest to jedno z tych zagadnień, które winno stanowić podstawową część programu nauczania w specjalnej Akademii Filmowej. Czekamy na dobrych filmowców, chcemy, żeby byli, — ale właściwie skąd się mają wziąć? Inżynierów daje nam politechnika, lekarzy, przyrodników, matematyków — uniwersytety, dziennikarzy — Wyższa Szkoła Dziennikarska, — a filmowców?

Skąd się mają wziąć filmowcy? — Z przypadku?

Od krytyków należy oczekiwać wskazań co i jak należy czynić, aby nasz przemysł filmowy dawał dobre filmy, dobre dzieła sztuki.

Maria Leszczyńska (Warszawa)

List z Bliskiego Wschodu

Jerozolima, w marcu 1946 r.

Kraje arabskie, ten zapadły partykularz do 1939 r., stały się ośrodkiem zainteresowań mocarstw światowych i przyciągają uwagę społeczeństw europejskich ze względu na ciekawe procesy przemian gospodarczych, politycznych i społecznych, jakie nurtują świat Bliskiego i Środkowego Wschodu. Dlatego też warto polskiego czytelnika zaznajomić z rzeczywistością tych krajów, które w czasie ostatniej wojny przemierzył żołnierz polski byłej Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich i przybyłej z ZSRR tzw. Armii Polskiej na Wschodzie, w skrócie „A. P. W."

Najdłużej udzieliła żołnierzowi polskiemu gościny Palestyna, ongiś biblijny „kraj mlekiem i miodem płynący". Oczywiście jest tu i mleko i miód, ale nie płyną one tak bardzo, na potrzeby miejscowe nie wystarczają i nie one stanowią o bogactwie kraju. Do wybuchu wojny cytrusy, tj. pomarańcze, cytryny i grapefruty były dumą mieszkańców „ziemi świętej". Wojna zamknęła rynki eksportowe, co przyczyniło się do ogromnego marnotrawstwa tego złotem promieni słonecznych nasyconego owocu, a przede wszystkim plantacji cytrusowych czyli tzw. „pardesów". Obecnie niektóre bogatsze kraje europejskie mogą już sobie pozwolić na import witamin zaklętych w owoc, ale wywóz z Palestyny jest dopiero w powijakach.

W czasie wojny Palestyna przeszła gorączkę ożywienia gospodarczego, wywołanego potrzebami wojska. Dzisiaj przemysł stoi przed problemem przestawienia fabryk na produkcję pokojową, co nie jest łatwym zadaniem. Ale nie to spędza sen z powiek mieszkańca Palestyny.

I żydowscy i arabscy mieszkańcy „ziemi świętej" poruszeni są do głębi sprawą najbliższej przyszłości swego kraju. Świat arabski, niejednolity zresztą, marzy o wyzwoleniu spod władzy kolonialnej, ciążącej pod eufemiczną nazwą „władzy mandatowej". Świat żydowski, również niejednolity, zajęty jest zasadniczą dlań sprawą bytu czy niebytu swej „siedziby narodowej" w Palestynie, co jest zresztą równocześnie kwestią życia i śmierci Żydów palestyńskich.

Z kolei gra brytyjska w imię zasady „dziel i rządź", rzucająca feudalnym kierownikom arabskiego ruchu nacjonalistycznego ochłap w postaci wstrzymania imigracji żydowskiej do Palestyny, spowodowała duże zmiany w psychice mas żydowskich oraz w postawie i taktyce ich partii.

Zmiany te są istotne. Ostatecznie bowiem zbankrutowała koncepcja szukania opieki u brytyjskiego władcy nawet za cenę wysługiwania się jego imperialistycznym interesom. Zwolennicy tego kierunku stwierdzili z przykrością tak silne oburzenie mas żydowskich na to, że wprowadzono je w ślepy zaułek, że rozdzierają teraz szaty jak faryzeusze z powodu „niewdzięczności" Anglii. Co za tym idzie, popularna stała się walka z kolonialną polityką „władzy mandatowej", której mandat służy dziś wyłącznie do zabezpieczenia kluczowych pozycji imperium.

Nie wiedzie się jakoś W. Brytanii. Siły, które popierała swego czasu dla odwrócenia umysłu mas arabskich od walki wyzwoleńczej, obróciły się przeciw niej. Sprawa imigracji per fas et nefas stała się bojowym hasłem walki politycznej wymierzonej przeciw administracji angielskiej. Walkę tę prowadzą lewicowe partie socjalistyczno-syjonistyczne, używając do operacji ochronno-bojowych wspólnej, nielegalnej organizacji wojskowo-samoobronnej pod nazwą „Hagana". Część operacyjna akcji politycznej polega na zabezpieczeniu ochrony lądującym na ziemi palestyńskiej grupom nielegalnym imigrantów. Nie były to operacje na wielką skalę, miały jednak za zadanie mobilizację mas żydowskich a nie samych tylko członków półwojskowej organizacji „Hagana". Zadanie to zaczęto realizować, co oczywiście zaniepokoiło administrację palestyńską, która nie lubi walki mas.

I oto zjawił się czynnik „opatrzności", jako że rzecz dzieje się na ziemi świętej. Oto jak na skinienie czarnoksięskiej różdżki rozpoczęła swą działalność terrorystyczną faszystowska organizacja wojskowa żydowskich rewizjonistów, tzw. „Irgun Cwai Leumi". Huk wystrzałów pistoletowych i bomb rzucanych przez małe, lecz karne bojówki na policjantów angielskich odwrócił uwagę części społeczeństwa żydowskiego od mniej może na razie efektownej, ale skuteczniejszej na dalszą metę walki politycznej.

Terrorystyczna organizacja faszystów-rewizjonistów powstała w r. 1943 za wiedzą ówczesnego Wysokiego Komisarza Palestyny, p. Mac Michela, jako przeciwwaga „Hagany". Dziwnym zbiegiem okoliczności — organizatorami jej byli zwolnieni oficjalnie z Armii Polskiej na Wschodzie przez Andersa (w momencie, gdy żadnych zwolnień nie było) oficerowie-Żydzi, również dziwnym zbiegiem okoliczności — rewizjoniści. Klasyczny przykład pomocy, udzielanej przez polskich faszystow antysemitów żydowskim faszystom, najzajadlejszym wrogom wszystkiego co polskie i ludowe. Pomocy tej polscy faszyści udzielali rewizjonistom i później, w postaci broni, materiałów wybuchowych, instruktorów. P. Jędrzejewicz, ongiś sanacyjny minister, a dziś spiskowiec bez ziemi, miesiące całe przechowywał w swym mieszkaniu jednego z hersztów bandy terrorystycznej, niejakiego Szterna. Po jego śmierci od kuli policjanta rozpaczał p. Jędrzejewicz jak po stracie cennego przyjaciela i omal nie nosił żałoby. Będąc jednak w gościnie, na ziemi administrowanej przez Anglików, którzy są mistrzami w zachowywaniu pozorów, zwłaszcza w tego rodzaju okolicznościach, musiał liczyć się z tym, że zachowanie pozorów jest tu konieczne.

Władze palestyńskie nie zadowoliły się jednak faktem odwrócenia uwagi od politycznej mobilizacji mas w kierunku mało szkodliwych a już całkowicie nieskutecznych wypadów band faszystowskich terrorystów. Akty terroru posłużyły rządowi palestyńskiemu jako usprawiedliwienie dla nowelizacji przepisów o ochronie porządku publicznego, ogłoszonych w „Gazecie Urzędowej" z dnia 28 stycznia 1946 roku.

A oto najistotniej zmienione przepisy: najważniejsze są dwa punkty — wprowadzenie kary śmierci na osoby „fortyfikujące jakiś obszar lub miejsce" oraz rozciągnięcie odpowiedzialności na członków grup i związków, do których należą główni sprawcy przestępstw, przy czym kara śmierci lub dożywotniego więzienia może być zastosowana również do członków tych związków, do których należą główni przestępcy.

Naczelny dowódca wojskowy w Palestynie może ustanowić sądy wojskowe, złożone z jednego oficera.

Kara dożywotniego więzienia może być wymierzona za bezprawne noszenie munduru i odznak wojskowych.

Nowela wprowadza kilka nowych definicji przestępstw, jak np.: ucieczka z więzienia, groźby karalne, odmowa organom wojskowym wylegitymowania się, posiadanie i używanie nadawczych aparatów radiowych lub ich części.

Zmiana, jaką wprowadza nowela, jest o tyle ważna, że o ile poprzednio wszelkie sprawy z oskarżenia o przestępstwo przeciwko bezpieczeństwu rozpatrywały sądy cywilne, a tylko niektóre — sądy wojskowe, obecnie wszelkie tego rodzaju sprawy rozpatrują sądy wojskowe, a tylko niektóre — według uznania władz — sądy cywilne.

Na podstawie nowych przepisów naczelny dowódca wojskowy w Palestynie może upoważnić każdą osobę wojskową do dokonania aresztowań i zarządzenia deportacji bez wniesienia aktu oskarżenia, przeprowadzania procesu i dowodu winy. Co więcej, każdy wojskowy lub policjant może według własnego uznania zaaresztować obywatela bez nakazu i przetrzymać go w areszcie w ciągu dni siedmiu.

Każdy żołnierz lub policjant może bez nakazu zaaresztować osobę podejrzaną o udzielenie schronienia nielegalnemu imigrantowi. Za udzielenie schronienia nielegalnemu imigrantowi grozi kara do 8 lat więzienia i 1000 funtów palestyńskich grzywny.

*

Wprowadzenie tych drakońskich i niesłychanych wprost przepisów w państwie rządzonym przez „zachodnio-demokratycznych" i „chrześcijańsko-kulturalnych" Anglików, nasunąć musi trzy wnioski. Pierwszy, to konieczność rozbicia i rozdeptania faszystowskiej gadziny rewizjonistycznej przez demokratyczne, świadome elementy żydowskie. Jeśli nie uczynią tego w sposób jak najbardziej bezwzględny, ludność żydowska w Palestynie narażona będzie na cierpienia (stan wyjątkowy, hamujący całkowicie wszelkie objawy życia społeczno-ekonomicznego, ofiary strzelanin policyjnych i wojskowych itp.), a partie demokratyczne padną ofiarą bądź to soldateski, bądź to terroru faszystowskiego, który dobierze się do nich w swoim czasie. Drugi, to konieczność oparcia walki w Palestynie o nowe, demokratyczne kraje Europy, od których zależy przyszłość Europy. Dlatego nie należy uważać Palestyny za pępek świata, dla którego kwestia żydowska zamyka się w ramach palestyńskiego partykularza. — Ostatni wreszcie wniosek — to konieczność porozumienia się z Arabami bez Anglików i wbrew ich woli, na platformie stworzenia wspólnego, niepodległego państwa. Oczywiście nie jest to łatwa sprawa. Ale czas wreszcie pomyśleć nad jej realizacją, dotychczas bowiem nawet najbardziej demokratyczne elementy partii syjonistycznych zdobywały się najwyżej na teoretyczne ogólniki bez prób praktycznych.

Nam, Polakom na uchodztwie, czekającym z niecierpliwością na powrót do Ojczyzny, nowelizacja przepisów o bezpieczeństwie w Palestynie nasuwa pewne refleksje. Orientując się w antykrajowej propagandzie faszystowskiej części polskiego uchodztwa, możemy wyrobić sobie zdanie o nastrojach reakcji w kraju i tych, którzy są przez nią bałamuceni. Wyobrażamy sobie, że będą ludzie, którzy nie uwierzą w wydanie tego rodzaju przepisów bezpieczeństwa przez „wzór demokratów" — Anglików. Wiemy jednocześnie, że gdyby w Polsce Rząd Jedności Narodowej był autorem tego rodzaju noweli, zostałby okrzyczany w kraju i za granicą jako rząd krwawego terroru. Zaiste, przepisy o sądach doraźnych to szczyt liberalizmu prawniczego.

Podróże kształcą!

Jan Hłasko

MALARSTWO POLSKIE

TADEUSZ MAKOWSKI (1882—1932) **Powrót ze szkoły**, olej

Słowianie i Prasłowianie

Stefan Nosek. Słowianie w pradziejach ziem polskich. Kraków, Spółdzielnia „Pomoce i urządzenia szkolne", 1946; str. 166, 14 mapek i 132 rycin w tekście.

Chociaż książka Noska jest przeznaczona w zasadzie dla młodzieży szkolnej „jako lektura wprowadzająca i uzupełniająca przy nauce historii ojczystej", powinni ją czytać również dorośli, ponieważ stanowi ona najbardziej wyczerpujące i wszechstronne kompendium o kulturze Słowian i Prasłowian, zamieszkałych w dorzeczu Wisły i Odry, uważanym dzisiaj przez naukę polską (por. prace J. Kostrzewskiego i Lehra-Spławińskiego) za kolebkę Słowian w ogóle, za ich obszar macierzysty, z którego dość późno po Chrystusie wyruszyli w kierunku wschodnim, południowym, a także zachodnim. Przystępnie i prosto napisana książka Noska omawia kulturę młodszej epoki kamiennej, którą w latach około 2000—1700 przed Chrystusem można już wiązać z pojęciem praindoeuropejczyków, z kolei epokę brązu wraz z kulturą unietycką, odpowiadającą spólnocie celtycko-illiryjsko-słowiańskiej (około 1700—1500), analizuje szerzej kulturę łużycką, łączoną już z żywiołem prasłowiańskim (1300—400), wreszcie przechodzi do wszechstronnego nakreślenia obrazu kultury materialnej i duchowej Słowian (naprzód wymienionych przez Ptolomeusza, Tacyta i Pliniusza Starszego Wenedów), których dzieli od wykrystalizowanych Polaków przejściowy okres wędrówek ludów. Z pracy autora wynika, że od lat około 600 po Chrystusie może być już mowa o plemionach polskich.

Najbardziej interesującą częścią książki jest opis wczesno-historycznej kultury polskiej w okresie od VII do XII wieku, przy czym wciągnięcie historycznej Polski piastowskiej w orbitę badań początkowych stuleci uzasadnia fakt, że pomimo przyjęcia przez nią chrześcijaństwa a wraz z nim kultury łacińskiej, formy tradycyjne, sięgające nieraz swą genealogią zamierzchłej przeszłości, żyją u nas wyjątkowo długo. Dość wspomnieć uderzające analogie nawet między współczesnym budownictwem drewnianym, a budownictwem praktykowanym w staropolskich grodach. Zważmy, że żywe po dziś dzień praktyki budowlane były już znane w prasłowiańskiej osadzie bagiennej w wielkopolskim Biskupinie, datowanej na lata około pięćset przed Chrystusem.

Dzięki licznym, wyjątkowo fortunnym odkryciom archeologicznym, dokonanym w okresie międzywojennym we wspomnianym Biskupinie, a także w takich wczesno-historycznych osadach jak Santok u ujścia Noteci do Warty, wyspa odrzańska, Pasieka w Opolu, Gniezno (gród z czasów Mieszka I), Poznań, Kłecko, Dawidgródek na Polesiu, Lubomia w powiecie rybnickim i Wołyń-Wolin nad Bałtykiem (podług Widajewicza identyczny ze starożytną Winetą, inaczej Jumne lub Jomsborg, opanowany z czasem przez Wikingów) — nasza wiedza o kulturze staropolskiej opiera się dzisiaj na mocnych fundamentach tak, że z łatwością możemy korygować realia „Starej baśni" czy choćby „Dzikowego skarbu" Bunscha, który w nikłej tylko mierze wyzyskał wyniki naszej archeologii.

Z pewnym zdziwieniem i dumą dowiadujemy się bowiem o konsekwentnie regularnej zabudowie bagiennych osad i wyżynnych grodów zarówno prasłowiańskich jak polskich. Podziwiamy rygorystyczne rozplanowanie osad podług z góry powziętego planu np. w Biskupinie i Opolu, geometryczną szachownicę ulic, ich trwałą nawierzchnię z drewnianych bali, pod rząd stawiane, jednakowe chaty i staranną technikę budowlaną, zrębową lub łątkowo-sumikową. W zdumienie wprowadzają nas zwłaszcza drewniane mury obronne, zakreślające nieraz regularne pierścienie, mury niemal „cyklopie", o niewątpliwych cechach monumentalności i znaczeniu nie tylko praktycznym, lecz także estetycznym. Dość wspomnieć, że mury te posiadają nieraz u spodu 20 m. szerokości, że ściany ich poprzedzone dołem obręczą częściowo kamiennego podestu, nieznacznie pochyłe ze względów statycznych, osiągały wysokość 10 metrów, kończąc się rodzajem przysłon czy krenelaży, kryjących wewnętrzny chodnik straży. Dodać jeszcze warto, że takie wały drewniano-ziemne, zapewne z czasów Chrobrego, przebiegały np. na Śląsku setki kilometrów częściowo właśnie wzdłuż naszej dzisiejszej granicy zachodniej, bo równolegle do Nysy łużyckiej a także rzeki Bobru.

Poziomowi tego budownictwa odpowiadały różne formy kultury społecznej, gospodarczej, religijnej i politycznej. Tkactwo łącznie ze strojem, ozdoby srebrne, piękna ceramika, snycerstwo, wyroby z kości, wysoki poziom zdobnictwa (ornament plecionkowy, stempelkowy, falisty, kreskowy itd.), wystawiają chlubne świadectwo naszym przodkom o ich kulturze typu rolniczego. Toteż nic dziwnego, że geograf arabski Idrisi pisząc około połowy XII w. o Krakowie i Gnieźnie stwierdził (cytuję za Kostrzewskim i Noskiem), że „zamieszkiwali je rzemieślnicy, słynni z pochwytu różnych pomysłów w swej sztuce i zręczności wykonania wszystkiego o czym pomyśleli, przez co wychodziły spod ich ręki wyroby wielce udatne". (Tzw. Księga Rogera Muhammada al Idrisi, wydana świeżo przez Polską Akademię Umiejętności; została omówiona w nr 70 „Odrodzenia"). Wszystko to działo się rzecz jasna przed kolonizacją niemiecką. W związku z tym nieraz przychodzi na myśl pytanie, w jaki sposób rozwinęłaby się nasza kultura, gdyby nie fatalny w skutkach pomysł naszych książąt dzielnicowych skolonizowania ziem polskich żywiołem niemieckim? W świetle zabytków naszej przed- i wczesnohistorycznej kultury wolno przypuścić, że dalszy jej rozwój przyniósłby rezultaty oryginalne i wartościowe. Kto wie, czy narzucane nam nieraz gotowe twory kulturalne nie zahamowały naturalnego i spontanicznego nurtu naszej własnej, rodzimej twórczości.

Po szczegóły o życiu naszych praprajców i jego formach należy sięgnąć do książki Noska, który w bezpretensjonalny, lecz ścisły sposób sumuje najnowsze wyniki naszej archeologii. Musimy więc w tej książce uznać pozycję bibliograficzną bardzo cenną i bardzo potrzebną zwłaszcza dzisiaj, w erze budzenia się świadomości wspólnoty słowiańskiej. Krzepiąco działa na nas udowodniona przez naukę teza o naszej organicznej więźbie z ziemiami nad Wisłą i Odrą. Albowiem wbrew nauce niemieckiej plemiona słowiańskie nie pojawiły się tutaj dopiero w czasach pochrystusowych na skutek wycofania się hord germańskich, lecz wykształciły się one powoli w drodze naturalnych procesów biologiczno-kulturalnych z Prasłowian epoki kultury łużyckiej, zamieszkałych na naszych ziemiach, już w drugim tysiącleciu przed Chrystusem. Wobec tych danych mamy więc dawne prawo czuć się panami u siebie, nad Wisłą i świeżo odzyskaną Odrą.

Tadeusz Dobrowolski

Mapa Polski

Rzeczpospolita Polska. Skala 1:2,750.000. Opracowali Kazimierz i Jerzy Maleccy. Granice z roku 1945. Skład główny „Exlibris", Kraków.

Jest to jedyna ze współczesnych map polskich, oprócz znanych map Szaflarskiego, przedstawiająca również teren, a więc mapa poziomicowa, barwna. Skala barw użyta przez autora jest czymś pośrednim między romerowską ceglasto-żółto-zieloną, a brązowo-zieloną używaną przy sporządzaniu innych map. Jest ona wprawdzie bardzo estetyczna i spokojna, ale wyrazistość mapy przeznaczonej prawdopodobnie do celów szkolnych traci na tym. Łysogóry, wzniesienia pojezierne na mapie prawie nie występują. Nie widzimy na niej również depresyj w delcie Wisły.

Do dodatnich stron mapy należą: format, dogodny dla celów szkolnych, oznaczenie najnowszych granic Polski, wyraźna sieć wodna i w ogóle czytelność mapy wykonanej pod względem technicznym poprawnie.

Przydałyby się też nowe granice województw, tak mało znane naszym szkołom i ogółowi społeczeństwa.

Mieczysław Woźnowski

W TEATRACH KRAKOWSKICH

„BARTOSZ GŁOWACKI" WE LWOWIE I W KRAKOWIE

Wystawiony na scenie Teatru im. Słowackiego w Krakowie „Bartosz Głowacki" Wandy Wasilewskiej spotkał się z oceną niejednolitą. Część sprawozdawców znalazła słowa pełne uznania dla utworu, osądzając jego ujęcie reżyserskie i wykonanie, część zaatakowała sztukę, zarzucając jej przede wszystkim sfałszowanie prawdy historycznej. Nie jest moim zamiarem ani celem zastanawiać się nad tym, kto ma rację, a kto się myli. Chciałbym tylko jako uczestnik lwowskiej premiery „Bartosza Głowackiego", która odbyła się w roku 1941, dać szkic porównawczy, który by ukazał różnice w koncepcjach inscenizacyjnych, reżyserskich i aktorskich.

Zacznijmy od poszczególnych postaci. W ujęciu wykonawcy lwowskiego, Madalińskiego, był Bartosz Głowacki chłopem twardym, upartym, pełnym wiary i świadomości, że trzeba przede wszystkim walczyć o niepodległość, a dopiero później zastanawiać się nad tym, jaki będzie w tym niepodległym państwie układ sił społecznych. Nauka spod Racławic i spod Maciejowic nie złamała go, tylko zmieniła. Bartosz zrozumiał, że chłop i pan — to dwa różne światy. Jak tę sprawę ujął i przeprowadził krakowski wykonawca roli Bartosza — Woźnik? W fragmentach początkowych nie ma w nim ani ognia, ani wiary w powstanie kościuszkowskie, ani wyrywania się do tego powstania; w fragmencie końcowym na ziemi włoskiej jego Bartosz robi wrażenie człowieka złamanego, zdruzgotanego pozbawieniem go ojcowizny, oddaniem w austriackie rekruty. Kiedy mówi o swojej drodze do Polski, mamy wrażenie, że myśli wyłącznie o powrocie pod strzechę i żoniną pierzynę.

Weźmy drugą z kolei postać sztuki: starostę Szujskiego. Zgodnie z tekstem i intencją Wasilewskiej, lwowski wykonawca tej roli, Krasnowiecki, dał sylwetkę człowieka brutalnego, bezwzględnego, do głębi gardzącego chłopem, uważającego tego chłopa w najlepszym razie za zło konieczne w czasie wojny, za nienajgorsze mięso armatnie. Krakowski wykonawca roli starosty, Nowakowski, poszedł po zupełnie innej linii. Jego Szujski, to szlachetny, dostojny, siwowłosy i siwowąsy pan, przypominający raczej Cześnika z „Zemsty" niż twardego, bezwzględnego obszarnika. Idźmy dalej. Zarówno rządca jak i karbowy byli w wykonaniu lwowskim takimi, jakimi być mieli: ślepymi, bezmyślnymi, okrutnymi wykonawcami rozkazów i poleceń starosty. W ujęciu krakowskim obie figury miały w sobie coś operetkowego, zalatywały „Baronem cygańskim".

A żona Bartosza Głowackiego? Jest to postać zarysowana przez Wasilewską z wielką plastyką, rozmachem i jędrnością. Ponad miarę lękliwa, ponad miarę gadatliwa, traci dosłownie głowę, kiedy nagle przychodzi wiadomość, że nie tylko nie będzie musiała odrabiać pańszczyzny, ale wraz z mężem została nobilitowana. Jako świeżo upieczona szlachcianka zadziera nosa, tak że Bartosz musi ją nawet mitygować. Dopiero zakucie męża w austriackie kamasze, przekreślenie decyzji o zniesieniu pańszczyzny daje jej świadomość nieszczęścia i zmienia ją wewnętrznie. Lwowska Bartoszowa, Życzkowska, wszystkie te stany duchowe podkreśliła i uwypukliła. Nie można tego powiedzieć o wykonawczyni krakowskiej, Kierzkowej. Jako Bartoszowa jest tylko piskliwą, kłótliwą, nieznośną babą, której przeżycia nie tylko nie interesują, ale wręcz drażnią.

Nie koniec na tym. We fragmencie końcowym, rozgrywającym się we Włoszech, mamy szkicowo tylko nakreśloną sylwetkę oficera legionowego, który marzy nie tylko o powrocie do kraju, ale także o tym, aby jakoś zasypać przepaść między panem a chłopem, razem walczyć o Polskę i razem ją budować. Oficera tego grał we Lwowie Kreczmar z takim przejęciem i takim żarem, że maleńka rólka urosła do kreacji. Wykonawca krakowski ograniczył się do tego, że włożył na siebie piękny mundur i mniej lub bardziej poprawnie recytował tekst. To samo powiedzieć można o kapitanie wojsk Dąbrowskiego, ujętym przez aktora krakowskiego wręcz operetkowo.

Sztuka Wasilewskiej jest antytezą anczycowskiego „Kościuszki pod Racławicami". Tak ujął ją we Lwowie reżyser Krasnowiecki. Scena wymierzania Bartoszowi Głowackiemu pięćdziesięciu kijów przy akompaniamencie werbli austriackich, na którą to egzekucję starosta zwołał całą wieś, miała we Lwowie wstrząsającą grozę. Reżyser krakowski, Karbowski, potraktował gromadę chłopską przypatrującą się egzekucji, jak jakiś martwy, bierny tłum statystów operowych. Zrezygnowanie z werbli, przeniesienie egzekucji w bezpośrednie pobliże pałacu starościńskiego pozbawiło tę scenę wyrazu i grozy. To samo odnosi się do sceny, w której u Bartosza schodzą się chłopi, by mówić o tym, jak to po rozbiciu Kościuszki panowie znowu zaciskają pętlę na ich głowach. Rozmowa ta przepojona była we Lwowie prawdą — w Krakowie stała się szablonowym, chłopskim oleodrukiem, przypominającym obrazy Wodzinowskiego.

Na inscenizacji krakowskiej zaciążył niezaprzeczenie pokonany i wyeliminowany szczęśliwie we Lwowie kompleks „Kościuszki" Anczyca. Ani reżyser, ani inscenizator, ani dekorator nie potrafili się z niego wyzwolić. I to jest jedna z głównych przyczyn, dla których ujęcie „Bartosza Głowackiego" w Krakowie było najzupełniej fałszywe.

Jacek Frühling

„ICH DWÓCH"

„Ich dwóch", komedia w trzech aktach Romana Niewiarowicza, reżyseria Józefa Karbowskiego, dekoracje Karola Gajewskiego. Premiera w Teatrze Miejskim im. Słowackiego.

„Złota seria" teatrów krakowskich trwa: po „Przejrzały oczy nasze", „Droga do świtu", po „Mężu z grzeczności" „Król", po „Muzyce na ulicy" „Ich dwóch", taka spolszczona „muzyka na ulicy", ale w zwolnionym rytmie i jeszcze bardziej katarynkowa. To wiadomo: Kraków jest miastem o świetnych tradycjach teatralnych i najlepszych obecnie w Polsce obiektywnych warunkach teatralnej teraźniejszości. Więc skąd się biorą dyskusje stwierdzające, że praktyka przeczy teorii, po co zebrania w „Odrodzeniu", tak uprzejmie ale tak stanowczo podkreślające, że jest źle i gorzej być nie może, a łatwo mogłoby być lepiej? „Dziad swoje, baba swoje" — oto jest najstosowniejsze określenie stanu spraw teatralnych; i jeszcze: „przemówił dziad do obrazu". Ktoś tu więc z kogoś kpi w żywe oczy z uporem, który więcej niż zdumiewa, bo niepokoi i każe domyślać się jakichś pozaindolencyjnych przyczyn takiej a nie innej linii postępowania — repertuaru omyłek, repertuaru złej woli i repertuaru szmiry.

Chcesz widzieć Szekspira — jedź do Katowic. Chcesz ujrzeć wybitną sztukę nowoczesnego repertuaru w doskonałej i nowoczesnej oprawie scenicznej — jedź do Łodzi. W Krakowie nie gorzej? Owszem, owszem, dla patriotycznego wzruszenia masz „Drogę do świtu", co to jest proletariat poznajesz z „Muzyki na ulicy", w „Królu" masz lekcję poglądową na temat socjalizmu, a jak się z Wasilewskiej robi „wieczory pod lipą", pokaże ci krakowskie przedstawienie „Bartosza Głowackiego".

Do tego samego cyklu należy „Ich dwóch" Romana Niewiarowicza. Aktor, reżyser i komediopisarz w okresie okupacji brał Roman Niewiarowicz czynny i wybitny udział w konspiracji; program teatralny nazywa go „jednym z szefów polskiego kontrwywiadu". Będąc nim musiał Niewiarowicz utrzymywać z Niemcami pozornie przyjazne stosunki i wystawił w Warszawie, w przedsiębiorstwie zwanym „Komedia", komedię „Znajda", z Adolfem Dymszą w roli głównej. Po przeróbkach, które sztuce nie wyszły na dobre, ujrzeliśmy tę „Znajdę" jako komedię pt. „Ich dwóch". Akcję mechanicznie wmontowano w okres powojenny, co prowadzi do niezamierzonych kolizji z realizmem faktury (idylla taksówkowa, tajemniczość prezesa Kolityńskiego, który, chorując od sześciu lat, jeździł jednak leczyć się po różnych zagranicznych „badach"), a budzi poza tym — nieuzasadniony, być może — odruch niechęci i protestu przeciw wygodnemu posłużeniu się motywem obozu koncentracyjnego w niefrasobliwej błahostce, przeciw takiemu nietaktownemu doczepieniu momentu patriotycznego do sztuki, która przez to samo tym natretniej przypomina okoliczności, w jakich się odbywała jej prapremiera, i rodzaj publiczności, jaka ją wówczas oklaskiwała.

Rzecz jest taka: „Ich dwóch" — szofer i doktor — zaprzyjaźnili się w obozie koncentracyjnym i podtrzymują przyjaźń w warunkach powojennych mimo tzw. różnic socjalnych, które autor podkreśla równie często, jak banalnie i według utartych wzorków. „Ta trzecia", która omal nie poróżniła przyjaciół, to młoda panienka, „znajda", wychowywana odtąd przez „tatuśków". Oczywiście obaj zakochują się w uroczej pupilce, ale rola ojców zabrania im ujawniać to uczucie. Pannie przez pewien moment wydaje się, że tylko szofera kocha jak ojca. Doktor, choć bardzo mądry, bierze to za dobrą monetę i krzyczy na wiernego przyjaciela (tzw. wielka scena). Ale w trzecim akcie „znajda" zmieniła ideał starzejącego się doktora na młodszego inżyniera i obaj panowie opiekunowie muszą się już ostatecznie ograniczyć do roli — jeśli się tak można wyrazić — podtatusiałych ojców.

W teatralnym programie z racji podwójnej roli Niewiarowicza jako aktora i autora wywołano nazwiska od Szekspira i Moliera do Mariusza Maszyńskiego. Zważywszy, że Molier dowcipkował nieraz na temat klisteru, wybaczamy Niewiarowiczowi trzymanie nas dłuższy czas w napięciu w związku z kłopotami trawiennymi prezesa Kolityńskiego i ewentualnymi kłopotami ślicznej „znajdy", spowodowanymi brakiem pewnego składnika pożytecznego przedmiotu z porcelany.

Co jednak najwięcej denerwuje, a nawet drażni w tej nieudałej komedii, to jej zafałszowana, cklliwa i nieszczera atmosfera, która w najbardziej prymitywny sposób usiłuje sielskość drobnomieszczańską w stylu Bałuckiego przenieść do dzisiejszych warunków polskich. Dorosła w wojennych warunkach dziewczyna zachowuje się już nie jak tzw. gęś (co, wiadomo, jest niezależne od wieku), ale jak ośmioletnie dziecko (ktoś na premierze mówił o trzech latach, ale to już uważam za przesadę). i jak do dziecka podchodzą do niej obaj „ojcowie". Kwestia „ubikacji" jest takim tabu, jakim nie była nawet za czasów Młodej Polski (patrz słynne uwagi Boya na ten temat).

Zasadniczy sprzeciw budzić musi obraz wzajemnego stosunku obu przyjaciół, podkreślony przez reżyserię i wyjaskrawiony, być może ponad intencje autora. Światła i cienie rozłożone są w ten sposób, że doktor to zbiór wszelkich cnót społecznych, natomiast towarzysz-szofer, niby „chłop z wiary", jest głupi, ordynarny i co najmniej prymitywny uczuciowo, nie mówiąc już o tym, że bez ustawicznej pomocy i opieki doktora byłby bezradny i zagubiony jak dziecko. To już nie anachronizm obyczajowy i naiwne fałszowanie rzeczywistości, to gorliwa robota ad usum delphini. Widz ma się zachwycać doktorem, a śmiać z szofera, no i wyciągać swoje wnioski jak na „Królu". Pewien swoisty typ widza czyni to skwapliwie i z lubością. Obraz jest bez luk: w „Królu" karykaturalny przywódca, w „Ich dwóch" karykaturalny szeregowiec. Postawmy jeszcze raz kropkę nad i: w teatrach naszych panuje obecnie na zmianę duch Bus-Feketego i Faubourg St. Germain. Te dwa duchy (też „Ich dwóch") znajdą zawsze obrońców i amatorów. A tu przychodzą niecierpliwi i powiadają, że nie pora na postawę pana Augusta Bęc-Walskiego. I konflikt gotowy. Nie z naszej, przyznacie państwo, winy.

Komedię odegrano w Teatrze Miejskim z większą w każdym razie pieczołowitością i starannością reżyserską niż „Bartosza Głowackiego", i to mimo niewłaściwego obsadzenia roli Pakułki. **Zielewskiemu,** którego pamiętamy w dobrych rolach Niemców, nie „wyszło" odegranie ich niedoszłej ofiary: był kanciasty i monotonny w swoich gierkach, chwilami nieznośny. **Burnatowicz** dzielnie mocował się z niewdzięczną rolą doktora, którego zapały miłosne tak szybko odrzuca panna Krystyna; ale przez knock-out nie zwyciężył. **Próchnicka** nie mogła nie wyglądać uroczo i nie ożywiać serc wszystkich prezesów i nieprezesów na widowni: nie jej to wina, że musiała być niemrawa i blada jak papier. W rolach epizodycznych wystąpili **Jaworska i Żukowski.**

Na czoło wykonawców wysunął się **Szubert,** wyborny komik, jeden z najlepszych dziś charakterystycznych aktorów polskich, który z pojawiającej się w tysiącu wersji postaci prezesa stworzył zabawny, nie bez oryginalnych szczegółów i wstawek, tysięczny pierwszy wariant. Maska, ruch, gest i słowo złożyły się u Szuberta na wyborną i rozśmieszającą całość, która pozwalała nam przyjmować pogodnie nawet tak spospolitowany rodzaj kawałów scenicznych jak ustawiczne przekręcanie „demokratycznego" nazwiska przez prezesa z kresów.

Teatr ma podobno pewne ważne zadania społeczne i kulturalne do spełnienia. Teatry krakowskie w sposób wyraźny bojkotują ten pogląd. To się powinno zmienić. To się musi zmienić.

J. A. Szczepański

DROGA DO NIKĄD

„Droga do świtu", sztuka w 3 aktach Bohdana Pepłowskiego, reżyseria Józefa Wyszomirskiego, muzyka Stefana Kisielewskiego, dekoracje Andrzeja Stopki. Premiera w Starym Teatrze.

Jesteśmy istotnie tragicznymi rekordzistami drugiej wojny światowej: w ogromnym martyrium narodowym ostatnia okupacja stała się najokropniejszym doznaniem, a nawet w okresie, gdy wrogowie nasi szli już od klęski do klęski, gdy dawno zetlały ich sztandary wywieszane po wrześniu, maju czy czerwcu — myśmy umożliwili jeszcze Niemcom odniesienie zwycięstwa w Warszawie, zrobiliśmy wszystko, by po dawnemu przegrywać i cierpieć mesjanicznie, nawet w okresie, gdy wszystkie atuty historyczne w naszym, nie przeciwnika, znalazły się ręku. A te właśnie, nie inne fakty historyczne znajdują największy odzew w naszym pisarstwie i nawet dramatopisarstwie (rywalizuje z nimi co najwyżej równie tragiczna i do mesjanistycznych dywagacyj skłaniająca tematyka męczeństwa Żydów).

Początek dał „Mąż doskonały" Zawieyskiego, później poruszyły nas subtelne „Dwa teatry" Szaniawskiego, ostatnio dano nam do obejrzenia, żadnych ambicyj samodzielnego myślenia nie wykazującą, niemniej jednak wyraźnie w klimacie apologii wyhodowaną „Drogę do świtu". Jak na jeden rok teatralnego żywota — chyba dosyć. Zwłaszcza, że wzmacnia tę atmosferę skłonność widza do wykrywania „kompleksu Warszawy" nawet w takich sztukach jak „Lilla Weneda" lub „Elektra". Rzecz jest tym bardziej niepokojąca, że zawiłe sprawy, które doprowadziły do zniszczenia nam stolicy, w skrócie teatralnym muszą doznawać zniekształcających uproszczeń.

Słuszna afirmacja bohaterstwa powstańczego przeradza się w tych warunkach — jeśli nawet nie w intencji autora i w koncepcji reżyserskiej, to w każdym razie w apercepcji widza — w ślepą apologię, ze wszystkimi jej skutkami w postaci nie tylko podziwu dla żołnierza, lecz i poklasku dla wodzów. A to jest już bardzo polityczny wygłos, eskontowany przez tych, którym ściślejsza analiza społeczno-polityczna jest bardzo nie po myśli.

„Droga do świtu" raz jeszcze stawia przed nami problem teatralnego odtwarzania okresu okupacji. Mamy szeroki wachlarz porównań: od „Przejrzały oczy nasze" do „Zamachu". Wynik zdaje się przesądzać sprawę negatywnie, o ile chodzi o wymiary realizmu. Okazuje się, że zarówno patos i koturny, jak wodewilowość, jak nawet odważna próba subtelnie satyrycznego ujęcia wczorajszej grozy — najbliższa zresztą sukcesu i słusznie skwitowana sukcesem kasowym — załamują się w wyjaskrawiającym a jednocześnie deformującym świetle kinkietów i budzą opór i sprzeciw widza.

Znali teatralną, niezależną od talentu pisarza przyczynę tej reakcji widza już Grecy, gdy zabronili wystawiać w teatrach tragedie na polityczne tematy współczesne. Doświadczenia ze „sztukami warszawskimi" zdają się wskazywać, że dziś możliwe jest w teatrze podejście do wielu spraw okupacyjnych tylko w tym rodzaju, którego złym wzorem jest „Mąż doskonały" a dobrym — mimo wielu zastrzeżeń — „Dwa teatry". Bo realizmu widz nie jest jeszcze zdolny wytrzymać — nie tylko z przyczyn emocjonalnych.

Jeśli chodzi konkretnie o „Drogę do świtu", jest to zjawisko popularne w stylu „Gałązki rozmarynu", z nie szerszymi horyzontami, a ze śpiewami na tle sposobiącej się do walki Warszawy i walczących ruin. Grupka młodych „dzieci ulicy" (jeszcze jedna „muzyka na ulicy") konspiruje, ukrywa dorosłego działacza, który im przewodzi, nie zastanawia się, lecz walczy (i ginie) po bohatersku. Utwór, na ogół artystycznie nieporadny, ma w drugiej odsłonie żywą akcję ze skłonnościami do niezawodnych kryminalnych efektów.

W wykonanie włożył Stary Teatr wiele wysiłku, który idzie na marne. Aktorzy dzielnie starali się urealnić i przybliżyć do nas odtwarzane osoby, reżyseria próbowała się wyżywać w scenach zbiorowych, ilustracja muzyczna usiłowała uartystycznić nastrój walki, uczniowie studia teatralnego starali się jak mogli dopomóc członkom ZASPu w ich niewdzięcznych zadaniach. Sugestywnie przemawiały dekoracje **Stopki;** jest to dekorator, którego stać na pierwszorzędne osiągnięcia, dowodem choćby „Jajko Kolumba". W utworze występuje chłopiec, mówiący gwarą: w wyniku jeszcze jedno potwierdzenie prawdy starej, że gwara rzadko nie wychodzi na scenie irytująco; dobre mówienie gwarą, to jedno z najtrudniejszych zadań dla aktora.

J. A. Szczepański

„SŁOWO O KOŚCIUSZCE"

Nie ulega wątpliwości, że kościuszkowska rocznica przysporzyła kierownictwu Teatru Rapsodycznego niemało kłopotu. Układ tekstu jest w tym teatrze wyłącznie zadaniem **Mieczysława Kotlarczyka.**

Montaż słowny „Słowo o Kościuszce" rozpoczęto wyjątkami z jednoaktowego dramatu K. H. Rostworowskiego „Czerwony marsz". Powiedzmy od razu: nie widziało się dotychczas nie tylko w Teatrze Rapsodycznym, ale i w żadnym innym krakowskim teatrze obrazu tak świetnie pokazanego artystycznie. Nie zawiódł żaden szczegół, od technicznych efektów sceny począwszy, a skończywszy na odcieniach recytacji i gestu. Poezja i szaleństwo rewolucji, rytm Karmanioli i Marsylianki, świst gilotyny, przecinającej życie Ludwika Capeta i upojenie francuskiego ludu, na który słowo „wolność" działa jak mocny alkohol i jeszcze więcej: przeczucie, że stąd wezmą początek wszystkie inne rewolucyjne siły, nie rozbudzone jeszcze gdzie indziej poza granicami Francji — wszystko to można było przyjąć jako sugestię wizji teatralnej pierwszej części „Słowa o Kościuszce". Wszyscy uczestnicy-współtwórcy obrazu, od elektrotechnika do Koryfeusza (Kotlarczyk), zasługują na pełne uznanie.

Jedyne zastrzeżenie tyczy się **Krystyny Ostaszewskiej,** i to nie tyle jej samej, co koncepcji reżyserskiej, z której wynikł jej sposób recytacji. Ostaszewska mówiła „objaśnienia sceniczne" Rostworowskiego — relacjonowała przebieg zdarzeń dziejących się za sceną: akcji rozgrywającej się na deskach szafotu. Wydaje mi się, że zupełnie niewłaściwie użyto tutaj patosu, jak przy odtwarzaniu tekstu poetyckiego, wymagającego ożywienia treścią indywidualnych „przeżywań" aktora. Należało stanowczo potraktować „objaśnienia" jako wątek czysto informacyjny, a zatem mówić je z absolutnym spokojem, całkowicie beznamiętnie. Można sądzić, że wrażenie byłoby wówczas dużo silniejsze.

Z niezwykłą dynamiką „Czerwonego Marszu" tym silniej kontrastował fragment reportażu Nowaczyńskiego „Pulaski w Ameryce". Spokój i pełen surowości kształt statyczny tej sceny, uderzającej rezonerstwem i chłodem, studzącym nawet okrzyki tłumu na cześć Kościuszki, Polaków i Polski, stanowił nieuniknione przejście do prozy Reymonta.

Najbardziej dojrzałym talentem w zespole Kotlarczyka wydaje się być **Danuta Michałowska.** Jej duża kultura słowa, nienaganna dykcja, wreszcie szeroka skala głosu, niezawodnego tak w partiach lirycznych jak i heroicznych, — to wszystko złożyło się na pełną wdzięku interpretację „Hejnału". **August Kowalczyk** pięknie wypowiedział „Przysięgę". Natomiast opowiadanie o bitwie racławickiej nużyło wewnętrznym brakiem dramatycznego nurtu. Przyznaję, że trudno rozstrzygnąć, w jakim stopniu zawinił zespół, biorący udział w tym obrazie, a w jakim sam Reymont. Faktem jest, że brakowało czegoś bardzo istotnego — być może owych nieznanych przyczyn, dzięki którym tekst wysoce dramatyczny w czytaniu, na scenie traci całą siłę rewelacji i odwrotnie. Końcowa część przedstawienia, anegdota o reprezentacji „Krakowiaków i Górali" Bogusławskiego w Teatrze Narodowym, stanowiła bardzo odpowiednią klamrę, potrzebną dla zamknięcia całości. Wykonano ją bez zarzutu.

Kwestia ilustracji muzycznej jest już w założeniach artystycznych Teatru Rapsodycznego zagadnieniem pierwszoplanowym. Muzyka łączy tu poszczególne partie słuchowiska i pozwala zachować wrażenie ciągłości scenicznego „działania się" wśród licznych urywków rozmaitych tekstów. W „Słowie o Kościuszce" rola muzyki jest może większa jeszcze, niż w każdym z dotychczasowych słuchowisk. **Antoni Żuliński,** któremu powierzono opracowanie ilustracji muzycznej, wywiązał się ze swego zadania w sposób nie budzący zastrzeżeń. Zadanie to było o tyle ułatwione, że niezawodna jest siła oddziaływania melodii rewolucyjnych (Karmaniola, Marsylianka) i ludowych (kościuszkowskie krakowiaki), które Żuliński uwzględnił w ogólnym opracowaniu. Z bogatych wątków muzycznych wyróżniło się zwłaszcza piękne solo wiolonczeli, ilustrujące tekst „przysięgi". Tercet, w osobach **Marii Mikuszewskiej** (skrzypce), **Stefanii Goreckiej** (wiolonczela) i **Krystyny Niżyńskiej** (fortepian), przyczynił się wydatnie do podniesienia i uzupełnienia ogólnych walorów słuchowiska.

Plastyk teatru, **Tadeusz Ostaszewski,** dobrawszy sobie do pomocy **Janinę Garycką,** stworzył tło dekoracyjne, wyobrażające stylizowaną Nike-Marsyliankę (według wzoru Rude'a paryski L'arc de triomphe).

Juliusz Kydryński

PORANEK „DIALOGÓW" JANA PARANDOWSKIEGO

Poranek „Dialogów" Jana Parandowskiego w Starym Teatrze był wizytą humanisty w mieście, w którym ta gałąź ludzkiej kultury ma za sobą wiekowe, najświetniejsze tradycje. Ze sceny przemówiło słowo, któremu brak zaskakującej paradoksalności myśli i siły temperamentu czy szczególnej osobliwości podejścia, ale które jest słowem odważonym czujną i wykształconą wnikliwością, głęboką rozwagą i zadumą nad rzeczami naprawdę wiecznymi dla każdego człowieka każdej epoki.

„Dialogi" Parandowskiego są rozważaniami i ocenami różnorakich problemów o charakterze przede wszystkim historyczno-kulturowym i historyczno-literackim, popartymi rzetelnym wysiłkiem odmierzenia prawdy i uzasadnienia swych tez argumentami wypracowanymi przez wiele wieków mrówczej i twórczej myśli ludzkiej. Z tego chociażby tytułu sylweta autora „Dialogów" wyróżnia się szczególnie na tle naszej obecnej twórczości. Jego znana erudycja, bardzo szerokim zasięgiem ogarniająca sprawy kulturalnego bytowania człowieka na ziemi, w obecnej chwili potwornego zniszczenia powojennego, jest sprawą dość indywidualną i szczególną. Z tego też punktu widzenia „Dialogi" są jakimś w sposób artystyczny przetworzonymi wykładami uniwersyteckimi, są dawkowaną wiedzą człowieka, który strawiwszy wiele lat nad księgami i w klimacie ich mądrości, prostuje nasze sądy pokazując prawdziwie ludzkie drogi wewnętrznego życia człowieka, życia opartego na nauce i sztuce. Odkrywa się wówczas przed nami świat ludzkiej kultury z plastyką daleką od suchych wykładów profesorskich, zbliża się ku nam stając się jasnym i zrozumiałym. Upraszczają się schematy wielkich epok i genialnych jednostek. Obcujemy z nimi bardzo po prostu, są one dostępne i zrozumiałe w najbardziej dla nich zasadniczych kwestiach. Nie ma tam rewelacji ze źródeł inwencji płynących, jest natomiast jasność i dokładność myśli oraz precyzja wysłowienia.

Pierwszy z recytowanych na poranku „Dialogów" „Rozmowa z cieniem" to wymiana zdań między żyjącym, młodym poetą współczesnym a zmarłym przed wiekami Horacym. Rozmowa przebiega na różne tematy zamykające się w obrębie problematyki twórczości i poezji. Jest to swobodna gra myśli pisarza-humanisty, smakosza i historyka kultury. Trwałość zdobyczy myśli ludzkiej różnych czasów i epok, pewne prawdy zdobyte i utrwalone przez trud wielu pokoleń i uwieńczone osiągnięciami nielicznych geniuszów, przedstawił Parandowski z sugestywną siłą, zmuszając słuchaczy do głębokiego zastanowienia się nad nimi.

W dialogu „Spotkanie wśród gwiazd" porusza sprawy boleśniejsze. Współcześni sobie dwaj ziomkowie, Rzymianie, Cycero i Cezar, zastanawiają się właśnie nad tym, co było wartością kultury rzymskiej opartej przecież na podboju, to znaczy uciemiężeniu słabszych, gwałcie i mordzie całych plemion. „Opowiedziałbym ci o tych wszystkich dzikich szczepach, na które spuszczałem miecz i ogień i głód, póki ich nie wyciąłem w pień albo nie ugiąłem pod jarzmo" — mówi Cezar do towarzysza. — „Dowiedziałbyś się co czułem, widząc jak giną i jak razem z nimi ginie ich obyczaj, ich język, ich świat — wszystkie ziarna przyszłości, które w sobie niosły, przyszłości własnej i całej Europy". Pobrzmiewa tu echo tych uczuć, jakich musiał doznawać pisarz w czasach krwawego terroru okupacji hitlerowskiej.

„Godzina śródziemnomorska" to rozmowa Conrada z bohaterem jego powieści, korsarzem Peyrolem, który u schyłku życia zginął za Francję. Zbój morski oskarża pisarza o porzucenie ojczyzny: czyż tam nie ma też wielkich spraw, za które warto było zginąć? Conrad broni się, zarzucając Peyrolowi jego proceder korsarski i zbrodnie całego jego życia. Jakże trudno nam się przełamać i powiedzieć sobie raz na zawsze, że Conrad jest pisarzem angielskim i że takim już musi pozostać. Miał do tego prawo aby się osiedlić w Anglii jak tylu innych Polaków za granicą i jak tylu cudzoziemców w Polsce, którzy stali się jej wiernymi synami. Bo takie jest prawo życia, wieczne krążenie wartości.

„Dialogi" odczytali w towarzystwie autora pp. Ciecierski, Fulde, Loedl, Sheybal i Warneckl.

Stefan Flukowski

Z życia muzycznego w Krakowie

Dziewiątą rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego uczcił Kraków szeregiem koncertów. Centralnym punktem tych uroczystości był koncert w **Filharmonii,** w którym wykonano „Stabat Mater" i I. Koncert skrzypcowy. **I. Koncert skrzypcowy** — to Szymanowski w żywiołowym rozpędzie młodości. Trawiony ustawiczną potrzebą dążenia w przód, kompozytor awangardowy w najpełniejszym tego słowa znaczeniu, awangardowy tym więcej im bardziej czuł bolesne braki muzyki polskiej ostatniego stulecia, pozostał jednak Szymanowski przez całe życie typowym romantykiem. Pozostał nim w czasie, gdy muzyka całej niemal Europy przeżywała silną reakcję przeciwko romantyzmowi, gdy zaczęto już coraz częściej wysuwać hasła „nowej rzeczowości", konstruktywizmu itp. przeciwko muzyce jako wyrazowi uczuć, którym była w XIX wieku. Rzeczowość — jakże niewielu twórców współczesnych Szymanowskiemu, nawet spośród tych, którzy przeciwstawiali ją dawniej uczuciowości w muzyce, znało równie dobrze, jak on, sens tego hasła! Nie byłby zyskał, w owym okresie ogólnego bałwochwalczego ubóstwiania konstrukcji i formy jako jedynych wartości dzieła muzycznego, tego miejsca w muzycznej literaturze światowej, które zajął, gdyby nie był się zapisał w tej właśnie dziedzinie twórczości muzycznej jako kompozytor nowy i oryginalny. Ale to, co dla konstruktywistów jest celem, dla Szymanowskiego jest środkiem do celu. Awangardowy w wyrazie i formie, pozostaje Szymanowski wierny romantycznym tradycjom polskim. Nie potrafił tworzyć muzyki, która nie byłaby wyrazem jakiejś emocji, tak samo, jak tego nie potrafił swego czasu Chopin. Szymanowski pozostał romantykiem i równocześnie jednym z najbardziej postępowych twórców epoki.

Słuchając dziś po 2 latach, które upłynęły od chwili jego powstania, I Koncertu skrzypcowego, czujemy tchnienie romantyzmu tak szczere i prawdziwe, a tak mocne, że ulegamy od pierwszej chwili urokowi tej dziwnej kompozycji. Ta ciężka ornamentyka, ta ustawiczna potrzeba pławienia się w dźwięku, ta oszałamiająca orgia kolorów powstały pod naporem jakiejś emocji o nieprawdopodobnym nasileniu i za każdym razem zadziwiają i niepokoją. Ta sama siła uczucia przemawia do nas i z partytury „Stabat Mater". Tylko tu uczucie zostało jeszcze pogłębione, Szymanowski osiągnął tu już pełną dojrzałość wewnętrzną, posiadł sztukę mądrego, oszczędnego dysponowania środkami artystycznymi i ową prostotę, dostępną już tylko największym.

Pod względem wykonawczym reprezentują oba te dzieła nie tylko olbrzymi wysiłek, ale i duże osiągnięcie artystyczne orkiestry, chóru, solistów i **W. Bierdiajewa** jako dyrygenta. Poziom koncertu był bardzo wysoki. Orkiestra w koncercie skrzypcowym brzmiała doskonale, niezwykle trudne i odpowiedzialne partie smyczków i instrumentów dętych (drzewo!) wykonane były bardzo starannie. **Eugenia Umińska** wykonała partię solową w sposób, który przynosi najwyższy zaszczyt jej kwalifikacjom nie tylko technicznym, ale przede wszystkim muzycznym. Interpretacja pełna siły wewnętrznej, wszystkie akcenty trafnie rozplanowane, arabeska melodii uchwycona w swym jedynym, niepowtarzalnym kształcie. **Chórom** Filharmonii należy się najwyższe uznanie za ogrom pracy i entuzjazmu, włożonego w przygotowanie „Stabat Mater". Trzydzieści kilka prób — to w naszych dotychczasowych stosunkach dowód wysiłków na nieprzeciętną miarę (należy tu wymienić też nazwisko kierownika chóru, **Zb. Soji,** który prowadził wszystkie prace przygotowawcze). Toteż rezultaty były bardzo piękne: dobre brzmienie i dyscyplina, wycieniowana dynamika, wykończona fraza (czasem tylko lekkie spadanie z wysokości w śpiewie a capella). Ładnie wyrównany poziom solistów. Na czoło wysunęła się **Aniela Szlemińska,** najlepsza wykonawczyni partii sopranowej od czasów niezapomnianej Stanisławy Szymanowskiej, dzięki samemu brzmieniu głosu i opanowaniu całości. Muzykalnie i inteligentnie śpiewała **Hrabi-Szałkiewicz** oraz **A. Wolak.** Przed koncertem red. **J. Waldorff** w krótkim przemówieniu oddał hołd zasługom wielkiego kompozytora.

W dniu 6 bm. urządziło **Polskie Wydawnictwo Muzyczne** w swoim lokalu przy ul. Basztowej 23 koncert połączony z odczytem mgr **Stan. Golachowskiego,** a związany z rocznicą premiery „Harnasi" Szymanowskiego w Operze Paryskiej. Prelegent omówił genezę tego dzieła i podał do wiadomości interesujące, nieznane dotąd dokumenty, wskazujące na jej zależność od Strawińskiego z okresu „Pietruszki" i „Święta wiosny" i baletów Diaghilewa, po czym **Zb. Drzewiecki** wykonał dwa Mazurki fortepianowe, **E. Umińska** i **Jan Hoffman** Taniec góralski z „Harnasiów" w układzie Pawła Kochańskiego, a **I. Wiskida** przy akompaniamencie **J. Szamotulskiej** dwie pieśni ze „Słopiewni" do tekstów Tuwima. Koncert połączony był z wystawą pamiątek dotyczących paryskiej premiery „Harnasi".

W dn. 31. III. w rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego odbyło się złożenie wieńca na Skałce, oraz uroczyste nabożeństwo w kościele Panny Marii, podczas którego wykonano szereg utworów polskich dawniejszych i współczesnych przy współudziale orkiestry i chóru Filharmonii pod batutą **W. Bierdiajewa** i **Zb. Soji, A. Profica** (organy) i **I. Wiskidy** (sopran).

Stefania Łobaczewska

Trzeba się uczyć, przeminął wiek złoty

Hanna Malewska zajęła się w nr 54 „Tygodnika Powszechnego" moimi „Paralelami historycznymi" (w nr 68 „Odrodzenia"). Lecz — zanim się zarzuci komuś „brak ścisłości rzeczowej" — czy nie byłoby dobrze trochę poczytać? Choćby prace Mathiez („La politique de Robespierre et le 9 Thermidor expliqués par Buonarotti", „La Révolution Française". „La Réaction Thermidorienne"), by się czegoś dowiedzieć o wpływie resztek Żyrondy na upadek Robespierre'a i o zmęczeniu ludu paryskiego, mimowolnego sojusznika wrogów jakobinizmu. Choćby Edwarda Bernsteina („Sozialismus und Demokratie in der grossen englischen Revolution"), Jerzego Lenza („Demokratie und Diktatur in der englischen Revolution"), aby się czegoś dowiedzieć o znaczeniu Cromwella, purytanizmu i levellerów dla rozwoju doktryn demokratycznych Anglii — jeśli zaś Niemcy i świeccy są podejrzani, to z Anglików Goocha i Gardinera, a z nieświeckich świetną książkę jezuity o. J. B. Krausa „Scholastik, Puritanismus und Kapitalismus". Jeśli w końcu chce się dyskutować o roli politycznej Jana Zamoyskiego, to „Trybun ludu szlacheckiego" Wacława Sobieskiego będzie jeszcze i dziś cennym punktem wyjścia.

Sądzę jednak, że nie o ścisłość chodziło — może nie Hannie Malewskiej, lecz „Tygodnikowi Powszechnemu". Chodziło o wskazanie, że szerzy się heretycką wiarę w „historycznych führerów". Stąd teza: skoro Hitler „głosił się wiernym mandatariuszem woli ludu", to każdy wielki człowiek w demokracji jest tak samo niebezpieczny jak Hitler. Rozumowanie trochę uproszczone. Równie proste i tego samego rodzaju rozumowanie prowadziłoby do tezy: ponieważ Aleksander VI był papieżem a Splett biskupem, przeto każdy papież wart jest tyle, co Aleksander VI, a każdy biskup tyle co Splett — wniosek, który trudno określić łagodniej, niż własnym określeniem „Tygodnika Powszechnego": „demagogią nie buduje się kultury". Zwłaszcza, gdy demagogia wzmocniona jest przekreślaniem istotnej różnicy między wielkim człowiekiem w demokracji, jak Robespierre, jak — do pewnego momentu swego życia — Cromwell — a ponurym kabotynem, likwidującym demokrację, jak Hitler. Problem wielkiego przywódcy w demokracji istnieje i będzie istniał. Niebezpieczeństwo, iż wielki człowiek sprzeniewierzy się w pewnym momencie demokracji, będzie także istniało. Ale tego problemu i tego niebezpieczeństwa nie usunie się przez kult miernoty. Nie usunie się go przez kult „tiers parti" dość osobliwy w piśmie katolickim („niechaj mowa wasza będzie: tak, tak, nie, nie"). Ani przez jeszcze w tym piśmie osobliwszy kult Henryka IV, monarchy, dla którego wiara była tylko kwestią kalkulacji, co się bardziej opłaci: przyjemność posiadania Paryża czy przykrość słuchania mszy św. Ani przez równie w tym piśmie osobliwe przeoczanie faktu, że właśnie najsprawniej funkcjonujące demokracje anglosaskie zwalczają wszelkie próby powstania tiers parti — i że to także jest przyczyną ich sprawnego funkcjonowania.

Nie sądzę, by Hanna Malewska tego wszystkiego nie rozumiała. Wszak sama dała piękną analizę wewnętrznej tragedii wielkiego człowieka („Żelazna korona"). Sądzę raczej, że ulega ona pewnej atmosferze wywodzącej się jeszcze z tej — tylko dla naiwnych tajnej — ajentury narodowej demokracji, jaką był przedwojenny krakowski „Głos Narodu". Dogmat, iż podstawą oceny cudzych poglądów jest nie ich treść, ale to, kto pisze i gdzie pisze, zdaje się wracać do życia w „Tygodniku Powszechnym".

Konstanty Grzybowski

Druga i Trzecia Rzeczpospolita

Zaczęło się od tego, że mówili „rządy pomajowe", „system pomajowy" — jakby w maju jeszcze tych rządów nie było, jakby w maju nic się nie działo. Szczególnie w Warszawie „Pif paf, bum bum!" — oto, odnaleziony przez Brezę opis wypadków majowych w tej kronice Warszawy, jaką były felietony Boya. Oto jeszcze jeden dowód, jak niewiernym świadectwem życia są źródła historyczne i jak w gruncie rzeczy zaściankowe (od „za ścianą"), profesjonalne jest życie literata.

A przecież właśnie „system majowy", „rządy majowe", „ludzie majowi", niczym „aptekarz majowy", — nieźle by to kolegowało z wyrazami „radosna twórczość". Bo nadawałoby tym terminom pewnej nawet zrozumiałości, rzekłbym, rumieńców życia. Bez nich, jak bez słów uszczypliwych, mówienie o polityce okazałoby się niebezpiecznym nowatorstwem.

Zresztą zajmując się wciąż polskimi zboczeniami w zakresie terminologicznym, trzeba powiedzieć, że w historii Francji czy Rosji np., gdy nie chodzi już o zamachy, ale o fundamentalne obie rewolucje, mówi się o „ludziach termidora" czy „ludziach październikowych". Mówi się także o rządach Ludwika Filipa per „monarchia lipcowa", a nie „polipcowa", chociaż miałoby to pewne uzasadnienie, skoro w lipcu była dopiero rewolucja, a Ludwik Filip z początku był tylko namiestnikiem królestwa. Pora więc już, wracając do naszych domowych spraw, poniechać tych ludzi, rządów, systemów pomajowych, zastąpić ich nareszcie majowymi. Bo w przeciwnym razie ten zadręczający skrupuł o dokładność (tego pochodzenia są te wszystkie: „po") zaprowadzi nas w ślepą uliczkę. Zabrniemy w rewolucje „polipcowe" i „popaździernikowe", a kiedy już dojdziemy do ludzi „popaździernikowych" i „polipcowych", wkroczymy nieomylnie w granice astrologii.

Obok „rządów pomajowych" herezja polska może się poszczycić wynalazkiem „rządów przedwrześniowych" i „Polski przedwrześniowej".

Drugie cesarstwo francuskie, pobite przez Niemców 1 września, zostało zastąpione Trzecią Republiką, ogłoszoną 4 września. I nikt tych osiemnastu lat sanacji francuskiej nie nazywa „rządami przedwrześniowymi," „Francją przedwrześniową". Tam się po prostu oddaje co cesarskie cesarzowi. I to zupełnie wystarcza. Podobnie o rządach Metternicha tylko ktoś widzący wszystko od końca mógłby powiedzieć: „Austria przedwiośniana i przedludowa". A Wiosnę Ludów czy nazwałby kto „Austrią przedfranc-józefińską"?

Ci sami ludzie mówili „na po wojnie", stosując po barbarzyńsku dwa przyimki do jednego rzeczownika, z czego miał być jeden niby przysłówek. Ci sami powiadali i mówią nie tylko „Polska przedwrześniowa", ale po prostu negując, jakby wstydząc się tej niepodległości, którą kwalifikują neologizmem nijakiego, więc pomiatanego rodzaju mówią „międzywojnie". Ci sami ludzie to są ludzie współcześni. Dzielą ich poglądy polityczne, łączą ich wspólne wady narodowego niechlujstwa w myśleniu i mówieniu. Poza obrzydliwością językową, paskudztwem gramatycznym, poza nonsensem, któremu pora już położyć kres, jest w tym obrzydliwą niechęć do nazywania rzeczy po imieniu. Po cóż więc omijać na wszystkie sposoby wyraz i samo pojęcie niepodległości, jakby w latach 1918—1939 nie było odrodzonej Polski, a jednocześnie najokrutniejszą niewolę wbrew powszechnym nastrojom, rozsądkowi i interesom nazywać niewinnie „okupacją". To są, powiedzmy sobie, argumenty filologiczne, ale argumenty przeciwko nam. Rewizjonizm historyczny w badaniu zamierzchłych epok Polski (tzn. epok, do których nie ma źródeł, a to się odnosi i do naszych dziejów 1918—1945) odwołuje się bardzo często do tej metody filologicznej, sprawdzając czy w ogóle teoria najazdu przez ludzi rasy nordyckiej da się utrzymać czy też nie. Już raz taka teoria została obalona.

Przyznać trzeba z żalem, że termin „międzywojnie" jednak dosyć trafnie wyraża całą iluzoryczność zaprowadzonego w Wersalu porządku, całą beztroskę ówczesnego pojęcia suwerenności, całą beztroskę, z jaką ludzie miarodajni i rządy państw korzystały z tego samostanowienia o sobie. Podobną beztroskę po rozbiorze swej ojczyzny zdradzał hr. Berchtold. Czyelował on bowiem nowomodne wówczas foxtrotty w szwajcarskich miejscowościach wypoczynkowych zaraz po zakończeniu pierwszej światowej rzezi, której on, Berchtold, jako austro-węgierski minister spraw zagranicznych dał początek, wypowiadając wojnę Serbii.

Termin „Polska przedwrześniowa" łączy wprawdzie nazwą lata odzyskanej niepodległości z klęską 39 roku, ale łączy po to, żeby tę sytuację międzynarodową i wewnętrzną sytuację Polski wyodrębnić od ostatniego rozdziału.

Czyż zatem już nie pora, żeby zaprzestać tego i zacząć nazywać rzeczy po imieniu. Dawną Rzeczpospolitę królewską uznać za Pierwszą Rzeczpospolitę. Polskę odrodzoną po pierwszej wojnie światowej nazywać Drugą Rzeczpospolitą, a Polskę odrodzoną po drugiej wojnie światowej nazwać Trzecią Rzeczpospolitą. Nie trzeba chyba długo wyjaśniać, że Trzecia Rzeczpospolita jest odmienna od Drugiej. Ma inne położenie geograficzne, ustrój narodowościowy, religijny, gospodarczy i społeczny, inną politykę zagraniczną.

Druga Rzeczpospolita powstała po półtorawiekowej niewoli i jak ustalono po długich dyskusjach, powstała 11 listopada 1918 roku. Od 1939 r., po klęsce militarnej reprezentowana była przez rząd emigracyjny oparty o konstytucję kwietniową 1935 r. W tym też sensie rząd ten może być uważany, mimo zmian personalnych, za kontynuację systemu 26 roku.

Ten rząd emigracyjny z ekspozyturą w Polsce, z podległą sobie armią regularną na emigracji, a zakonspirowaną w kraju był kierownictwem politycznym wojska polskiego walczącego pod dowództwem alianckim. Już nie pod tym dowództwem, lecz samodzielnie rząd ten rozpoczął pamiętne powstanie warszawskie 1944 r. Do chwili utworzenia Rządu Jedności Narodowej uznawany był przez aliantów zachodnich za legalny rząd polski.

Trzecia Rzeczpospolita opiera się na odmiennej orientacji politycznej i społecznej. Powstała z drugiej wojny światowej, nawiązuje do konstytucji 1921 r. Wywodzi się ze Związku Patriotów Polskich, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i Rządu Tymczasowego, politycznego kierownictwa armii polskiej walczącej pod naczelnym dowództwem radzieckim. Powstała zatem Trzecia Rzeczpospolita 22 lipca, podobnie jak Czwarta republika francuska 18 czerwca.

Adam Mauersberger

Z teki dr Prota Sowizdrzała

Rozkosze teodycei

Ludziom delikatnym i uczuciowym oraz wszystkim szukającym ukojenia po wojennych opałach należałoby polecić czytanie starych książek, które za przedmiot mają odsłonięcie i ukazanie cudownych urządzeń natury i wyższej harmonii panującej w świecie. Pośród lektur tego rodzaju trzeba wymienić dziełko: „Duch Księgi Natury przez przyjaciela Nauk odcieniony. Roku zbawienia 1813 w Krakowie". Autorem jest ks. Andrzej Trzciński „w Akademiach: krakowskiej Filozofii, w Strasburgskiej Medic. Dr., w Szkole niegdyś głównej korr. Filozofii experimentalnej publiczny Professor-Emerit".

1. DLACZEGO RYBY NIE MAJĄ GŁOSU?

„Nie odstępując od podobności ich między sobą napadniemy na ciekawe Natury prawo, przez które jestestwa trzech królestw ziemskich powtarzają się niejako w jestestwach trzech królestw morskich. I tak słoń wystawia nam wieloryba, drzewa odpowiadają koralom, pnące się rośliny porostowi morskiemu itd. Ptaki też podobne mają stosunki. Jak orzeł jest latających, tak lew jest królem chodzących zwierząt. Sole także, kleje i perły mają odpowiadające sobie pół- i metalle w wielkiej robotalni Natury.

Ale można by tu pobadać: czemu ryby są ogołocone z narzędzia głosu? kiedy zwierzęta ziemskie są nadarzone krzykiem, rykiem świegotem, śpiewem. To badanie chcą filozofowie ułatwiać przez to, że woda w własnym swoim żywiole ma brzmienie, ziemia zaś przeciwnie jest niema i przez ten sposób jest równy cichości i zgiełku podział na świecie" (str. 25—6).

2. HOMER PTAKÓW

„W owej to godzinie, gdy wszystko uśpione a czuwa samo człowieka ucho, brzmieć poczyna Hymnami Nieśmiertelnymi pierwszy śpiewak stworzenia słowik. Zaraz on świetniejącymi radości wykrzykami w najprzyjemniejsze uderza odgłosy. Skacze z grubego na cienki, z słodkiego na mocny ton, robi małe pauzy, jest częścią powolny, częścią żywy. Serce to jest, co rozkosz wpaja, serce co drży pod ciężarem czułości. Ledwie by tu pióro Muzykanta Filozofa zdoliło odcienić przedziwne całego wyśpiewu odmienności i same wytwory prostoty i słodkiej melancholii. Nie mogłem się do głębokiej nocy w ogrodzie pewnego dworu przy Dunajcu najmilszymi w świecie dosyć nasycać koncertami, kiedym niechawszy przed nachodem wojsk pruskich na Kraków, czekał tam z zacnymi do Lodomerii emigrantami na pożądane gospodarstwa przybycie. Co zaś zdaje się wiarę przewyższać jest to, że kiedy ptaszynie tej okrucieństwo wykole oczy, głos jej staje się jeszcze melodyjniejszym i że w takim ślepoty stanie utrzymuje śpiewaniem życie ten Homer ptaków, a straciwszy światło zwykł najpiękniejsze arie składać. Zdaje się, że w nieszczęściu jakaś ukryta tkwi harmonia, bo wszyscy poniekąd nieszczęśliwi są napłakawszy się do śpiewania skłonni" (str. 29—30).

3. JAKI KWIATÓW UŻYTEK?

„Pobadajmy teraz, co jest kwiat? co nam przynosi? i jaki jego użytek? Jest on synem wiosny, zdrojem wonności, wdziękiem panien, affektem poetów. Nadto daje nam miód i soki, tylko że prędko przechodzi, jak kwiat wieku naszego i samo życie, przecież istotę zapachów jego dłużej zachowuje kunszt ludzki, tak właśnie jak szczęśliwe człowieka myśli, które po nim żyją. Stroili kwiatami pierwiastkowi chrześcijanie zwłoki męczenników i ołtarze grobów, dziś na pamiątkę owych dni starodawnych zdobimy nimi świątynie kościołów. Na świecie zaś przywłaszczamy farbom jego żądze nasze, jako to nadzieję zieloności, niewinność białości, wstydliwość różanej jego okrasie. Są narody, u których kwiat jest wyjawicielem uczuciów. Jakoż jest on najprzyjemniejszym i najniewinniejszym do czytania dziennikiem, który ani poruchu, ani wojny, ani rozlewu krwi nie przynosi" (str. 41—3).

Przy końcu książeczki umieszczono drobnym drukiem dwie aprobaty i czcionką ozdobną, kursywą kaligraficzną. „wyrok zaprzeczny pewnego nauczyciela publicznego". Oto część najważniejsza tego wyroku: „Cały ten „dorywczo odcieniowany Duch Księgi Natury" w Entuzjazmie poetycznym napisany — nie zawierający w sobie nic szczególnego ani nowego (oprócz jednej nowej ortografii polskiej i wielu wyrazów oryginalnych w mowie polskiej nie używanych) przeczytałem... Korzyści z tego pisma wypływać mających nie poznaję" (str. 64—5). Z kolei następuje replika petitem pt.: „Zdanie odprzeczne autora".

Jak widać już wówczas nie brakło sceptyków, krytyków negatywnych i innych destruktorów, nie umiejących ani słowika słuchać przyzwoicie, ani na kwiaty spozierać ze stanowiska filozofii eksperymentalnej. Takie to zaprzeczne duchy zawsze wolą mędrkować o równym dóbr podziale zamiast poprzestać na „równym cichości i zgiełku podziale na świecie".

•

Podał do druku i unowocześnił fantastyczną ortografię Filozofii experimentalnej publicznego Professora (bo nigdy nie brakowało w Polszcze reformatorów i maniaków ortograficznych) tudzież niektóre formy gramatyczne do polszczyzny współczesnej przybliżył

Sigma

Tom, który był mityczny

Cypryana Norwida Pism zebranych tom F. Warszawa—Kraków, 1911; str. VIII — VI — 1 nl — 496 — 5— 1nl.

Całkowicie w stylu Norwida, ironisty dziejów, jest teza, którą człowiek przesądny mógłby postawić, obserwując losy jego wydań zbiorowych. Ilekroć do takiego wydania dochodzi, oznacza to wojnę, lub inne nieszczęście narodowe. Wspaniałe wydanie „Pism zebranych" staraniem Miriama i J. Mortkowicza dokonane, po ukazaniu się czterech woluminów stanowiących połowę całości, przyniosło — pierwszą wojnę światową. Wydanie „Wszystkich pism Cypryana Norwida" w ćwierć wieku później, też mniej więcej w połowie całości — przyniosło drugą wojnę światową. A kiedy za okupacji niestrudzony w szperaniu, szczęśliwy w wynajdywaniu norwidianów J. W. Gomulicki przygotował dwa zbiory: jeden niedrukowanych listów poety, drugi nie objętych wydaniami zbiorowymi lub nieznanych poezyj, ów zbiór drugi ukazał się — 31 lipca 1944, na dzień przed powstaniem warszawskim. Podobno ten zbiór drugi istnieje w kilku egzemplarzach, był zresztą omawiany w lubelskich numerach „Odrodzenia".

Te losy wydań sprawiają, że pogłębia się pewna legenda na temat twórczości i stylu poety: o roli ruin w tym stylu. Pisząc książkę o Norwidzie miałem możność dowieść, że sprawcą tej legendy jest cień rzucany na dorobek poety przez pośmiertne losy tego dorobku — rozpraszanego, daremnie zbieranego, znów idącego w gruzy. Bo w samym artyzmie Norwida, ruiny wcale nie odgrywają tej roli, jaką się im przypisuje.

Omawiany tom F przynależy jeszcze do świetnego wydania pism poety sprzed pierwszej wojny światowej. Tom, który był mityczny. Jego dzieje w krótkim wstępie, oddając równocześnie sprawiedliwość Miriamowi, krzywdzonemu w dwudziestoleciu w jego zasługach jako odkrywcy Norwida — przypomina Wacław Borowy. Tom ten nosi bowiem podwójne znamię ruiny. Druk przerwała pierwsza wojna na kończącej 31 arkusz woluminu stronie przypisów Miriama, przerwała w pół zdania i taki już ów tom pozostał. Wstęp Borowego datowany jest z października 1945...

Reszta przypisów Miriama albo przepadła, albo też w ogóle nie została napisana. Bo mimo obrony Miriama, którą podejmuje Borowy, przyzna on zapewne, że Miriam „wiecznościowym", niespiesznym charakterem swojej pracy znakomicie pogłębił rozproszenie, w jakim dziedziczymy pisma poety. Przecież jeszcze tej wojny osiemdziesięcioletni z górą Miriam tomy piąty i szósty „Wszystkich pism" udzielał tylko wybrańcom, a reszty nakładu nie rozprowadzał, motywując to tym, że przedmowy są już nieaktualne (osiem stroniczek druku na dwa tomy...) i że po wojnie napisze je lepiej i inaczej. Rezultat ten, że tomy piąty i szósty tego wydania są w praktyce fikcją, taką samą fikcją, jaką przez lat przeszło trzydzieści był udostępniony właśnie tom F. Dlatego to przypominam, ponieważ tom szósty „Wszystkich pism", pokrywający się swoim zasięgiem tematycznym — „pisma o sztuce i literaturze" — z tomem F, jest od swojego poprzednika znacznie bogatszy i zawiera niejedną rozprawkę i notatę, nie udostępnioną nigdzie poza tym fikcyjnym wydaniem.

Tom F, jak słusznie Borowy zaznacza, dla znawcy Norwida nie przynosi niespodzianek. Natomiast czytelnikowi zwykłemu przynosi, albo przynajmniej odświeża w pamięci pewne wątki pisarskie Norwida, na które chciałbym zwrócić uwagę. Nie będę nikogo namawiał do lektury wykładów „O Juliuszu Słowackim", czy pseudonaukowych roztrząsań na temat „Bogarodzicy". Ale kto chce do Norwida uzyskać pewien ludzki dostęp, niechaj czyta „Czarne kwiaty", niech sięga po fragment „Menego". Znajdzie w nich Norwida, świetnego obserwatora ludzi i miast, pamiętnikarza, który zanurzając się w czar wspomnień i przeżyć własnych umie ten czar utrwalić i przekazać z pełnym szacunkiem dla prawdy ludzi, których poznał i ocenił. Bez chwili żalu oddałbym niejeden z wielkich poematów Norwida, które do nas dotarły — z „Rzeczą o wolności słowa" na czele — za znane nam tylko w szczątkach, zatracone karty Norwida-pamiętnikarza, ironisty i gawędziarza, jak fragment „Pamiętnika podróżnego", czy „Z mojego albumu". Tom F ich nie zawiera, ale ów niedostępny tom szósty „Wszystkich pism" — oto przykładowy kamyk z ruiny.

Świetny wygląd drukarski omawianego tomu — chociaż obcy nam artystycznie w swej przeładowanej, secesyjnej rozrzutności — też budzi dosyć smętne refleksje ruinom przynależne. Tak przed pierwszą, jak przed drugą wojną światową książka polska uzyskiwała wreszcie wspaniały wygląd graficzny. Wydawnictwa sprzed obecnej wojny pamiętamy. Jeżeli chodzi o poprzednią, tom F jest bratem przyrodnim takich książek (wymieniam pierwsze z brzegu pamięci) jak „Jawa" czy „Baśnie malajskie" Siedleckiego, jak „Piotruś pan", a wiernym synem znakomitej matki: „Chimery" Miriama, najbardziej wypracowanego drukarsko czasopisma, jakie u nas istniało. Jeżeli więc tom omawiany wyda ci się dosyć staroświecki, pamiętaj czytelniku, że jego metryka sięga w okres sprzed pół wieku prawie. I mówi o ruinach rozleglejszych, aniżeli rozproszenie pism Cypriana Kamila Norwida.

Kazimierz Wyka

Najbliższy, świąteczny numer „ODRODZENIA" zawierać będzie 24 strony druku

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 12703 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".